Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 23 kwietnia 1939 r. Nr. 17



Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Daniela obserwowała to wszystko ze swojego zamknięcia, ale nie odezwała się jednym słowem. Ogromna radość przeniknęła jej do serca na widok czynności Japończyków. Mój Boże, mój Boże, nareszcie usunięto tego biednego chłopca spod działania tej wodnej tortury.

To była jedyna myśl, która wypełniała cały jej mózg.

A Japończycy pozwoliwszy Thompsonowi wypocząć nieco na macie, ujęli go następnie pod ramiona i poprowadzili gdzieś. Daniela została sama i w cichości ducha zaczęła się gorąco modlić.

XII.

INDAGACJA FREDA

Fryderyk był raczej wleczony po ziemi przez dwóch Japończyków, niż szedł sam. Był na pół przytomny. Ocknął się dopiero w bardzo elegancko umeblowanym pokoju w stylu japońskim. Podniósł głowę ciężką jak pień i mętnym wzrokiem rozejrzał się dokoła. W pokoju nie było nikogo. A może to jemu tylko tak się wydało? Może to jego mętny wzrok nie dostrzegał nikogo w tej izbie?

Następnie popadł w rodzaj przedziwnej drzemki, która nie była jednak snem, ale też nie była i jawą. Z daleka, z czteromilionowego Szanghaju dochodziły do jego uszu odgłosy życia, czasem strzały działowe, huk wybuchających bomb lub motor samochodu zawarczał gdzieś na dole.

Thompson wsłuchiwał się w te odgłosy i zwolna zdawał się przytomnieć. Znowu uniósł głowę w pewnej chwili i, tak samo jak na początku, rozejrzał się po pokoju. Teraz zobaczył maleńkiego człowieka stojącego o kilka kroków od siebie, z wzrokiem utkwionym w swoje oczy. Ale postać ta dwoiła się i troiła w oczach Freda tak, że z trudem tylko mógł poznać rysy tej postaci.

— Jak się pan czuje, mister Thompson? — usłyszał naraz głos ludzki.

Spróbował oprzytomnieć zupełnie, ale ból pod czaszką wciąż był tak straszny, że pod jego wpływem chwilami oczy mgłą mu zachodziły. Bywały jednak chwile, że widział zupełnie wyraźnie człowieka, który do niego przemówił i wydawało mu się nawet, że go poznaje.

— Jak się pan czuje, mister Thompson? — powtórzył znowu człowiek.

Dziennikarz wpatrzył się pilnie w twarz mówiącego i poznał ją. Była to twarz tego samego maleńkiego kapitana, z którym rozmawiał w expresie mandżurskim, ta sama twarz, którą spotkał niedawno temu obok kiosku z gazetami, a który tak bardzo interesował się osobą Danieli.

Podniósł na niego szeroko otworzone oczy.

— Czego pan chce ode mnie? — rzucił hardo, ale głosem słabym.

— Czyż troska o zdrowie znajomego nie jest na miejscu? — spytał Japończyk słodkim głosem, uśmiechając się błogo.

— W danych warunkach jest to równoznaczne z dbałością kata, który pyta skazańca na szubienicy, czy stryczek nie za bardzo będzie go uwierał.

— Ach, mister Thompson, co za porównanie!

— Zupełnie na miejscu.

— Czy pan nie głodny?

Thompsona diabli brali już teraz. Spróbował się podnieść, ale był jeszcze tak osłabiony, że próba ta mu się nie udała. Rzucił więc przez zaciśnięte zęby ze swego miejsca:

— Mój panie, jeżeli przyszedłeś do mnie, albo lepiej: jeżeli kazałeś przywlec mnie z lochu tutaj, by ze mnie drwić, to postępowania takiego nie można nazwać rycerskim, czym tak bardzo pysznicie, się, wy, panowie skośnoocy.

— Myli się pan, mister Thompson. Wprawdzie to ja kazałem pana tutaj sprowadzić, ale nie po to, aby z pana drwić, a tylko, aby z panem porozmawiać rozsądnie, jak z człowiekiem rozumnym i w razie potrzeby okazać mu nawet pomoc.

— Czego więc żądasz pan ode mnie?

— Przede wszystkim spokoju z pana strony — uśmiechnął się mały kapitan. — Następnie chcę panu pomóc. Jest pan osłabiony, więc szklaneczka dobrego wina na samym wstępie bardzo by się panu przydała.

— Nie chcę pańskiego wina i pańskiej grzeczności.

— Czy gniewa się pan na mnie?

Thompson nie odpowiedział, ale był tak wściekły, że gotów był tego człowieka zarżnąć na zimno, gdyby miał na to siły. A Japończyk, nie zważając na niehumor dziennikarza, podszedł do szafki, otworzył ją, wydobył stamtąd butelkę i dwie szklanki, napełnił je złocistym płynem i podszedł do Freda.

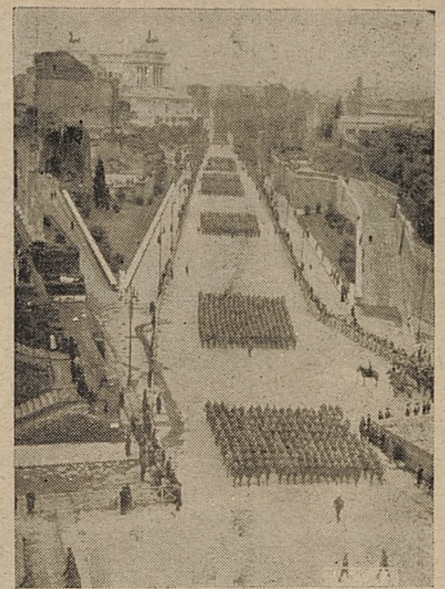
— Mister Thompson, proszę się napić, to panu dobrze zrobi, wzmocni go.

W pierwszej chwili Fred zawahał się, ale następnie pomyślał, że nie ma najmniejszego sensu się głodzić, więc wziął szklankę z ręki kapitana i wychylił ją do dna. Wino pokrzepiło go znacznie. Teraz już patrzył jaśniej i wyraźniej widział cały pokój i jego umeblowanie. Japończyk poczęstował go jeszcze jedną i drugą szklanką wina, następnie papierosem i, przysunąwszy się z krzesłem do dziennikarza, rzekł słodko, uśmiechając się łagodnie, jak dziecko:

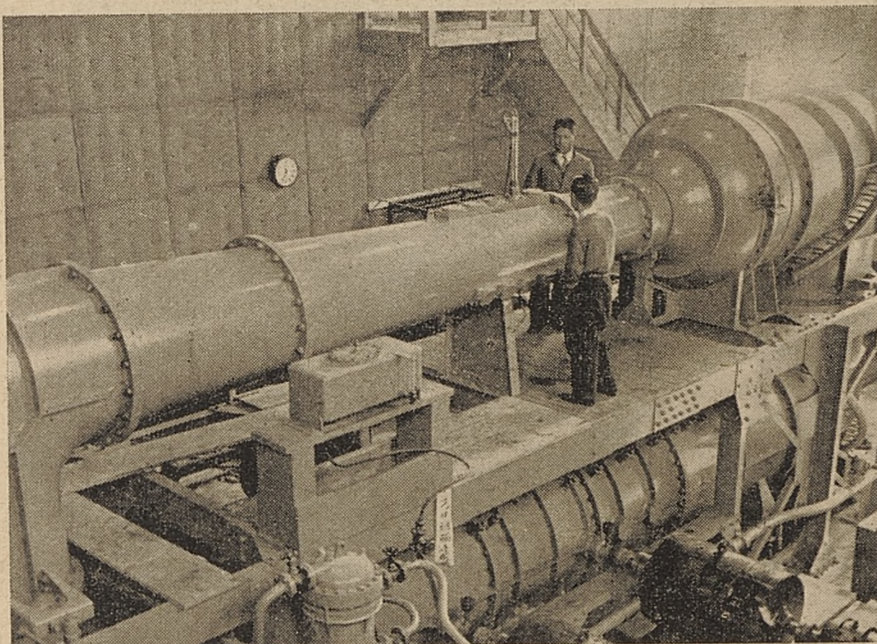
— Mam nadzieję, że pan mnie sobie przypomina, mister Thompson. Spotkaliśmy się już w swoim czasie w expresie mandżurskim z okazji kontroli paszportów. Przypominam sobie nawet, że interesowałem się pańską sekretarką.

Na wspomnienie Danieli, która pozostała nadal gdzieś tam w podziemnej komorze w klatce, Fredowi krew do twarzy nabiegła z gniewu. Powiedział więc:

— Panie, jeżeli chcesz, abym na jego pytania odpowiadał, proszę uprzednio ka-



W Rzymie na Via dell' Impero odbyła się olbrzymia defilada włoskich wojsk lotniczych.



Olbrzymi wentylator, stanowiący część składową tunelu aerodynamicznego w Tokio.

Na okładce wytworny kostium wiosenny z brązowej wełny, zapinany na jeden guzik; rewersy w kształcie liści; bluzeczka z białej koronki; kapelusz z niebieskiej słomki.

zać uwolnić i wywieźć z tego podziemia Hadesu moją sekretarkę, pannę Berthier.

— Ach, o nią niech pan będzie spokojny, nic złego jej się nie stanie.

— Mimo tego zapewnienia, żądam spełnienia mojego życzenia, inaczej pary z gęby nie puszczę. Zapowiadam to panu jak najbardziej uroczyście.

— To się już stało. Jeżeli możesz mi pan zaufać, proszę wierzyć, że panna Berthier znajduje się w tej chwili o kilka pokoi stąd od pana.

— Czy daje mi pan na to słowo?

— Słowo oficerskie. Czy panu to wystarcza?

— Całkowicie.

— A zatem cofa pan teraz swoje zarzeczenie się nieodpowiadania na moje pytania?

— Proszę, niech pan pyta.

— Jak dawno zna pan pannę Berthier?

— Powiedziałem to już panu w expresie mandżurskim, że znam ją od kilku lat.

— Czy się pan przypadkiem nie myli?

— Dlaczego miałbym się mylić? Czyż pan wie o tym lepiej ode mnie?

Japończyk nie odpowiedział na to pytanie.. Zagadnął znowu:

— A sekretarzuje ona panu od roku, czy tak?

— Owszem.

— Czy można wiedzieć, gdzieście się państwo poznali?

— Nie pamiętam już dzisiaj dokładnie, ale w każdym razie nie na terenie Azji. O ile mnie pamięć nie zawodzi, miało to miejsce w Paryżu w czasie mojej tam bytności.

— Ach, w Paryżu! Pan zna dobrze Paryż? Prawda, ładne miasto — metropolia świata, jak z dumą o swej stolicy powiadają Francuzi .

— Nie jestem Francuzem, więc mi to jest obojętne, ale Paryż osobiście bardzo lubię.



Ostatnio na Węgrzech wprowadzono do szkół żeńskich przysposobienie wojskowe. Na zdjęciu uczenice jednej z szkół węgierskich podczas ćwiczeń z karabinami.

— A nie wie pan, w jakim celu panna Berthier przybyła tutaj, na teren Chin?

— Najlepiej chyba odpowiedziałaby na to pytanie pana ona sama.

— Możliwe, możliwe, ale, sądzę, i panu nie jest chyba to tajnym?

— Nie interesowałem się nigdy tą sprawą.

— Czy być może? To dziwne. Wszakże pannę Berthier uważa pan za swoją narzeczoną, Jakże to więc dziać się może, aby się pan jej przeszłością nie interesował?

— Dla mnie kobieta i jej przeszłość zaczyna się od chwili, gdy ja się nią osobiście zainteresuję. Co było wtedy, kiedy ja jej nie znałem, nic mnie nie obchodzi.

— Bardzo ładna i szlachetna zasada, ale nie sądzę, żeby była zbyt praktyczna. Z kobietami, które zbyt wiele kręcą się po szerokim świecie, zwłaszcza z takimi, które przebywają na terenie Azji w celach niewiadomych, trzeba być bardzo ostrożnym.

— Zbytek zainteresowania moimi sprawami, kapitanie.

— O, niech się pan na mnie nie obraża, nie chciałem pana dotknąć.

— Nie obrażam się, ale nie życzę sobie przyjmować od pana żadnych uwag. Jeśli mi pan dobrze życzy, jak to słyszałem, zechciej mnie pan uwolnić z tego bezprawnego więzienia.

— Niestety, mister Thompson, temu życzeniu pana nie jestem w stanie zadość uczynić .Mogę tylko okazać panu pomoc w innych sprawach, a co do uwolnienia, moja moc staje się zbyt nikła.

— Ha, w takim razie nie mamy obaj nic więcej do gadania.

— Dlaczego? Jedno drugiemu nie przeszkadza. I proszę mi wierzyć, że nie stanie się panu nic złego .To tylko mała ostrożność. Pan rozumie: wojna, a ta rządzi się specjalnymi prawami.

— Pańska wojna o tyle mnie tylko obchodzi, o ile dostarcza mi ona materiału dziennikarskiego, a poza tym nie interesuję się nią wcale. Nie rozumiem zatem, jakim prawem dokonał pan, czy pańscy satelici napadu na mnie i uwięzili mnie. Uprzedzam pana, że rząd mój upomni się o mnie i upomnienie to poprze całą swoją powagą wielkiego mocarstwa.

— Potrafimy się jakoś wytłumaczyć, panie Thompson. Poza tym — nie wyrządzamy panu żadnej krzywdy. Pewna lekcja należała się panu od dłuższego już czasu, więc ją musiał pan otrzymać. Ale od



Z okazji 50-lecia istnienia wieży Eiffla w Paryżu złożono wiązankę kwiatów na pomniku jej twórcy, inż. Eiffla.



Znakomity nasz narciarz, Stanisław Marusarz (pierwszy od lewej) otrzymał z rąk dyrektora Państw. Urzędu W. F., gen. Sawickiego (drugi od lewej) państwową nagrodę sportową za rok 1938.

tej chwili na niczym panu nie zbraknie i nic złego pana nie spotka. Jedno tylko może będzie dla pana zbyt przykre, a mianowicie: przymusowe miejsce pobytu, jakie zostanie mu wyznaczone, ale na niczym innym zbywać panu nie będzie.

— Nie dbam o wygody, choćby najbardziej komfortowe, ale żądam od pana kategorycznie i po raz ostatni zwolnienia mnie z aresztu.

Kapitan rozłożył bezradnie ręce.

— Niestety, mister Thompson — to już nie pozostaje w mojej mocy. Jeśli jednak zechce mnie pan posłuchać, jeśli zechce pan być człowiekiem rozsądnym i rozumnym, znajdzie się pan jeszcze dzisiaj na wolności.

— Ciekaw jestem, co pan rozumie przez rozsądek i rozum?

— Nic specjalnie nadzwyczajnego. Ot, jeżeli pan nam powie, z kim ostatnimi czasy panna Berthier się spotykała, z kim jest zaprzyjaźniona i co robiła pewnej ciemnej nocy w domku nad rzeką Jang-Tse-Kiang, gdzie popełnił samobójstwo jeden z Japończyków, będziemy mogli nawet pana zwolnić.

Thompson słuchał pilnie, bo wzmianka o samobójstwie Japończyka i bytności tam Danieli, zainteresowała go bardzo. Nie okazał jednak po sobie tego, ale udał, jakoby wiadomości te były mu najzupełniej obojętne. Powiedział nawet:

— Wyjaśniłem już panu, że mnie sprawy kobiece interesują dopiero wtedy, gdy ja osobiście daną niewiastą się interesuję, a poza tym, tak samo dobrze i z tym samym skutkiem mógłby mnie pan spytać o życie na Marsie i ustrój polityczny tego państwa, o ile takie tam się znajduje.

— Pańskie słowa, przetłumaczone na zrozumiały język, oznaczają odmowę, czy tak?

— Wcale nieźle to sobie pan przełożył. Gdybym nawet wiedział cokolwiek w tych sprawach, o które mnie pan zapytuje, zaręczam, że tak samo nic bym panu nie powiedział.

— Odmawiając, naraża pan nie tylko siebie, ale także i pannę Berthier, którą pan kocha.

— Moja miłość do mnie należy i bardzo pana proszę, abyś nie poruszał w naszej rozmowie tego momentu.

— Niestety, nie da się tego uniknąć.

— Dlatego lepiej nie mówmy w ogóle. Jeżeli nawet zginę, dziura w niebie z tego powodu nie powstanie, a pomści mnie mój rząd.

— Szkoda pana młodego życia, szkoda życia panny Berthier — taka urocza kobieta!

— Kapitanie, proszę — skończyć tę rozmowę.

— O ile pan sobie tak życzy, zastosuję się do tego. Jestem gotów udzielić nawet panu paru dni do namysłu i rozważania mojej propozycji. Powtarzam ją jeszcze raz: o ile pan powie nam szczerze i bez obłudy, z kim panna Berthier w ostatnich czasach przebywała, kto jest jej protektorem i jaką rolę odegrała w samobójstwie pewnego Japończyka z samotnego domku, włos z głowy panu nie spadnie.

— Dobrze, dobrze, niech pan czeka cierpliwie, a może kiedyś namyślę się dać panu właściwą odpowiedź. Tymczasem będzie mi miło, o ile będzie pan na tyle uprzejmym, aby mnie zostawić samego. Pragnę bowiem przespać się nieco, jestem pańskimi uprzejmościami ogromnie zmęczony. Zatem do widzenia, kapitanie.

— Dobranoc. Niech pan wypocznie, a pewnie i umysł pański inaczej zacznie pracować.

— Niech pan ma nadal tę nadzieję.

XIII.

DANIELA SŁUCHA BAJKI

Kapitan z expresu mandżurskiego nie skłamał, mówiąc Fryderykowi, że Daniela znajduje się o kilka pokoi dalej. Kiedy bowiem wyniesiono Thompsona z podziemi i zaprowadzono go do całkiem przyzwoitego pokoju, Daniela nie na długo została sama. Niebawem bowiem zjawili się i po nią dwaj ludzie, którzy ją rozpętali ze sznurów i wynieśli gdzieś na górę. Tutaj umieścili ją w przyzwoitym pokoju i zostawili samą.

Nie będąc torturowaną w podziemiach tak, jak Fryderyk, panna Berthier czuła się znacznie silniejsza od niego i dlatego, zamiast paść bezwładnie na matę, na której ją ułożyli dwaj Japończycy, usiadła natychmiast po ich wyjściu i rozejrzała się ciekawie dokoła. Spostrzegła więc w pierwszej chwili, że znajduje się nie w mieszkaniu prywatnym, lecz w jakimś biurze, na co wskazywało choćby umeblowanie. W pierwszym odruchu zamierzała nawet podejść do okna i wyjrzeć przez nie, aby się może zorientować, gdzie się znajduje, ale już w następnej chwili zarzuciła ten zamiar. Rozumiała dobrze, że jest śledzona i nie chciała dać poznać po sobie żadnego lęku. Siedziała więc w dalszym ciągu na tym samym miejscu, na którym ją zostawiono i myślała o całym tym porwaniu i o Fryderyku. Była ogromnie ciekawa, gdzie go też zaprowadzono i co z nim zamierzają Japończycy zrobić.

— Chyba go nie zamordują — myślała — bo on tu niczemu nie winien i nic nie wie. I równocześnie na wspomnienie Fryderyka ogarnął ją żal, że jego miłość do niej zaprowadziła go aż w podziemia admiralicji japońskiej. — Jakże on mnie musi bardzo kochać! — westchnęła. — Wiem to bez jego zapewnień i dlatego taka mi szkoda tego chłopca!

Upłynęło tak może pół godziny, może więcej, gdy w pewnej chwili drzwi się bezszelestnie prawie otworzyły i na progu stanęła mała Japoneczka z tacą w rękach.

— Madame — rzekła — przynoszę pani posiłek.

I po tych słowach postawiła tacę z jedzeniem na macie i oddaliła się drobnymi kroczkami tak samo cicho, jak weszła.

Daniela doprowadziła ją wzrokiem aż do drzwi, a następnie sięgnęła ręką po czajnik z herbatą i najspokojniej zabrała się do jedzenia. Było jej w tej chwili prawie wszystko jedno, co się z nią dalej stanie. Miała takie przeczucie, że gubernator francuski, który bardzo wysoko ją cenił, nie omieszka uczynić wszystkiego, byle tylko wyrwać ją z rąk japońskich. A tymczasem, czując głód, postanowiła się posilić.

Jedząc bardzo wolno, równocześnie rozglądała się po swoim cubiculum i myślała o najbliższej przyszłości. Że nie powie nic, o cokolwiek by ją pytano, o tym najmocniej była przekonana. A że znowu, z drugiej strony, prześladowcy jej nie zdołają wydrzeć z niej żadnym sposobem tajemnic — tego również była pewna.

— Nie pozostaje mi, wobec tego — pomyślała — nic innego, jak czekać. Czas pracuje dla mnie, nie dla moich wrogów.

Kiedy skończyła jedzenie, podniosła i podeszła już teraz bez obawy do okna. Wyjrzała przez nie, ale nie zobaczyła nic więcej prócz okien w przeciwległej ścianie. Okna jej wychodziły na kwadratowy dziedziniec, na którym w tej chwili nie było żywej duszy i nic się nie działo.

— A zatem znajduję się jakby w studni — skonstatowała — nie ma jednak na świecie tak głębokiej i niebezpiecznej studni, z której przy własnej przemyślności i pomocy przyjaciół nie można by się wydostać. Ufajmy więc, że i ja wydostanę się stąd wcześniej, nim postawią mnie pod ścianą i wsadzą w moje serce odpowiednią dla uśmiercenia porcję ołowiu.

Zaczęła przechadzać się po pokoju, rozmyślając. W pewnej chwili znowu drzwi się otworzyły i na progu stanęła Japonka. Ale nie była to ta sama kobieta, która przynosiła jej jedzenie. Oczy Danieli z ciekawością wielką spoczęły na nowej postari. Poznała ją. To była Yiszika Kawaszimi, jej rywalka od roku, kobieta niebezpieczna i nie przebierająca w środkach, jeśli chodziło o dojście do celu.

— Jakże się pani czuje, madame Berthier? — spytała Yiszika najczystszym akcentem francuskim.

— Dziękuję za troskliwość, chwilowo nic mi do szczęścia nie brakuje — odpowiedziała Daniela, postanawiając sobie w tej chwili grać komedię w taki sposób, aby Yiszika niczego się nie domyślała. — A pani, madame Yiszika, jakże zdrowienko? Spodziewam się, że dobrze, gdyż cenniejsze ono jest dzisiaj, niż kiedykolwiek.

Yiszika spojrzała ciekawie, bardzo nawet ciekawie na przeciwniczkę i wskazała jej maleńki taborecik, stojący pod jedną ze ścian.

— Proszę niech pani usiądzie, pogawędzimy nieco. Sądzę, że samotność jest dla pani dość przykra, gdyż wiem, że lubi pani bardzo szumne i głośne towarzystwo.

— Z przyjemnością, o ile i pani odczuje z tego powodu zadowolenie.

— Rozmowa z panią jest zawsze przyjemna, madame Berthier.

— Ach, zbytek uznania dla osoby tak skromnej, jak ja, madame.

Obie kobiety, grające doskonale komedię wobec siebie, obrzucały się wzajemnie grzecznościami jakby jedna z nich nie znajdowała się w położeniu więźnia, dla którego nie było wyjścia na świat boży z tego zamknięcia.

— Słucham więc, co mi pani ma do powiedzenia? — powiedziała Daniela, siadając. — Czym mogę panią zabawić?

— To raczej ja przyszłam tutaj, wiedziona li-tylko sercem kobiecym, aby jej nieco umilić samotność.

— Jest pani nieskończenie dobra. Jestem gotowa słuchać wszystkiego, cokolwiek pani zechce mówić.

— Mówmy więc o miłości, bo to najponętniejszy temat dla kobiet. Czyż nie tak?

— Niech będzie i o miłości. Słyszałam, że chciano panią wydać za mąż za jakiegoś księcia mongolskiego?

— Owszem, ale sprawa ta dawno już przestała być aktualna. Nie chciałam się wiązać węzłami małżeńskimi.

— Wolała pani szerszą arenę życia publicznego i intrygi politycznej?

Yiszika uśmiechnęła się lekko, a potem powiedziała:

— Tak prawdę powiedziawszy, obie lubimy to życie.

Daniela wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „ty o wiele więcej ode mnie", a następnie rzekła:

— Miałyśmy jednak mówić o miłości.

— Owszem, pamiętam o tym. I przyszłam tutaj, aby pani donieść, że jej ukochany, mister Thompson, czuje się dobrze i tęskni za panią.

— Dziękuję pani za troskliwość. Doprawdy, jest pani wprost rozbrajająco dobra, madame Yisziko.

— Tęsknota jest kamieniem probierczym miłości.

— Podobno. Nie znam się dobrze na tym, gdyż nigdy dotąd nie kochałam.

— Przyjdzie i na panią ta choroba. Jest ona tak samo nieunikniona, jak wszelkie pierwsze przypadłości chorobowe dziecka. Każda z nas musi przejść tę odrę, która się inaczej miłością nazywa.

— Nie wiem, ale chciałabym być w życiu bardzo szczęśliwą.

— Będzie pani nią, o ile...

— O ile nie urwą mi gdzie głowy, czy tak?

— O nie myślałam bynajmniej tego, co pani zamierza we mnie wmówić.

— Ależ ja bynajmniej nic w panią nie wmawiam — kończę tylko niedopowiedziane przez nią zdanie.

Po tych słowach zapadło milczenie, trwające czas dłuższy. Żadna z kobiet nie chciała jakoś podjąć dalszej rozmowy, jakby naraz obie już poczuły się zmęczone odgrywaniem tej komedii, która była bez treści i zdawała się nie mieć najmniejszego znaczenia i sensu.

Ale Yiszika, która tu pewnie nie przyszła bez określonego planu, podjęła znowu na nowo rozmowę, odzywając się:

— Przyszłam panią zabawić, a tymczasem nasza dotychczasowa rozmowa nie może nosić miana rozrywkowej.

— Przeciwnie, mnie ona zupełnie dobrze bawi — uśmiechnęła się Daniela.

— Miałyśmy mówić o miłości, szczęściu... — podsunęła Yiszika.

— Możemy mówić i o tych sprawach. Słucham więc?

— Proszę mi powiedzieć, czy jest pani szczęśliwa?

Daniela wydęła wzgardliwie wargi.

— W moich obecnych warunkach trudno mówić o szczęściu.

— Nie mówię o chwili obecnej, która może się zmienić, jeżeli tylko pani sama zechce. Ale chodzi mi o pojęcie ogólne.

— Co pani zależy na mojej odpowiedzi?

— Jest pani bardzo piękna i jakby stworzona jedynie do miłości i szczęścia. Szkoda byłoby pani, gdyby jej życie minęło bez tych dwóch fundamentalnych czynników w życiu ludzkim.

— A pani, czy wierzy w szczęście?

— Nie wiem, ja jestem kobietą innej rasy, nasza stara kultura chińska posiada zupełnie inny punkt patrzenia na szczęście ludzkie. Wy jednak, biali wierzycie w istnienie szczęścia.

— Wszakże pani nie jest Chinką!

— Jestem nią.

— I służy pani wrogom swojej ojczyzny?

— Moją ojczyzną jest cała Azja.

— Zbyt to nieokreślone i mgliste.

— Poza tym myli się pani, mówiąc, że służę wrogom. Ja nie służę nikomu.

— Doprawdy?

— Zaręczam.

— Proszę pani, czy nie było by lepiej, gdybyśmy przestały obie grać tę dość niezręczną komedię? Obie dobrze wiemy, co o sobie sądzić, lepiej więc będzie, gdy porozmawiamy szczerze, prosto i bez obłudy. Zatem: proszę mi powiedzieć, czego pani ode mnie chce?

— Niczego więcej poza zabawieniem pani w jej samotności.

— Wierzę pani na kredyt. Dobrze. Zatem proszę mi opowiedzieć jaką bajkę chińską... o szczęściu, właśnie o szczęściu... Bardzo lubię bajki wschodnie.

— Najchętniej. O jedno tylko proszę, aby mnie pani nie posądzała o przewrotność. Nie zamierzam narazić pani na żadne nieprzyjemności czy przykrości.

— Dobrze już, dobrze, słucham bajki pani.

— Opowiem pani tę bajkę — bajkę o szczęściu. Jeżeli znajdzie pani dla siebie coś pożytecznego w niej, proszę mi to powiedzieć na końcu.

— Najchętniej.

— A więc: zaczyna się od tego, że na wielkiej przestrzeni, od gór aż po wielką rzekę ciągnęły się pola ryżowe. Twarda,



Za pługiem...

Wyszedł oracz z pługiem w pole
wesół i szczęśliwy.
— Hej! koniku, mój sokole!...
nie bądź — że leniwy...

Wypręż piersi, zbierz swe siły
niech pług skiby kraje.
Będziem orać zagon miły,
Wiosnę Bóg nam daje...

Będziem chodzić cały dzionek,
po wilgotnej błoni.
Ponad nami się skowronek
piosenką rozdzwoni...

Pszennym chlebem pachnieć będą
ojczyste zagony.
I za nami długim rzędem
pójdą czarne wrony...

A gdy ziemię słonko złote
pożegna uśmiechem,
my skończymy swą robotę
wrócimy pod strzechę...

Apolinary Żurawski

tu była i ciężka gleba. Ileż pracy i trudu trzeba było w nią włożyć, nim ją się uprawiło i zmusiło do wydania plonu. Wśród tych kwadratów i prostokątów w szachownicę porzniętych i kamieniami obłożonych — było jedno małe pole, skromniutkie, ale lepiej uprawione i piękniejsze na nim były plony. Było to pole młodego Li-Czanga. Gdy kopał pod zasiew ziemię, wychodził ze wschodem słońca i pracował bez wytchnienia do czasu, gdy słońce zapadało w morze, dając znać że czas na odpoczynek. Nie znał Li-Czang, co próżnowanie, a choć nie głodował jak inni, nie miał wszakże nadmiaru jedzenia. Ubożuchna była rola Li-Czanga, tak uboga, że ledwie jego jedynego wyżywić mogła .Nieraz przeto dziwił, się, jak ojciec jego mógł wyżywić z niej siebie, matkę i ośmioro rodzeństwa. Jak on to robił, że nie pomarli wszyscy z głodu, ale żyli i żyli, aż dopiero cholera zmiotła ich wszystkich? Z całej licznej rodziny został jeno Li-Czang, jakby śmierć oszczędziła go po to tylko, by było komu tę ziemię niewdzięczną uprawiać.

Mijały lata, a Li-Czang wciąż uprawiał odziedziczoną rolę ojców swoich, jadał plony zebrane i znów w mokry muł rzucał ziarno.

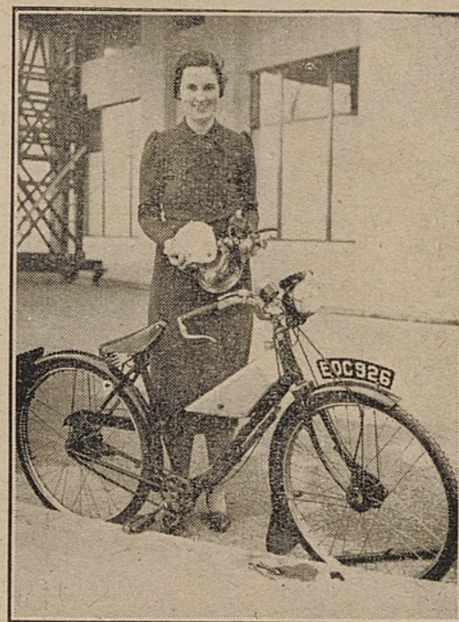
Mieszkał samotnie w chacie na brzegu wielkiej rzeki, nie znając prawie nikogo z mieszkańców sąsiedniej wioski, ani jego nikt nie znał. Gdy zdarzyło się czasem, że miał chwilę wolnego od pracy czasu, siadał na brzegu rzeki z gałązką w ręku i, mącąc nią wartko płynące fale, myślał o tym, dokąd też te wody płyną. I wtedy marzyły mu się ubogie wioski nadbrzeżne, miasta ludne, porty okrętami zatłoczone, a marzenia te odbijały się w tych wodach i wyrastały przed nim. Li-Czang myślał tak wiele, że zwolna zaczęło róść w nim jakieś nowe uczucie, którego nie znał dotychczas. Było to coś takiego, jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem i słuchał opowiadania brata swego ojca, który przybył do nich z ludnego miasta, by ich odwiedzić. Jakżeż bardzo szeroko otwierał wtedy oczy mały Li-Czang! Jakże chciwie słuchał tego cudownego opowiadania! Nic bardziej z niego nie utkwiło mu w pamięci, jak to, że w wielkich i ludnych miastach jest mnóstwo ksiąg, mądrości pełnych. Te księgi majaczyły mu się aż po dziś dzień. Nie widział ich nigdy w życiu ale znał je już prawie tak dobrze, jakby od wielu, wielu lat z nimi obcował. Gdy był sam i nikt go nie słuchał, rozmawiał z nimi i wdzięczył się do nich. Marzenia o wielkich księgach, mądrości pełnych, wypełniały całą duszę Li-Czanga.

— Cóż mi stoi na przeszkodzie, by pójść do ludnego miasta i zgłębić mądrość owych ksiąg — myślał teraz coraz częściej. Nic mnie tu nie trzyma, a ta ziemia niewdzięczna jest mi już obojętna. Ona nie jest wszak księgą zawierającą mądrość jakąkolwiek, prócz tej jednej, że potrafi rodzić. Ale nie umie obronić plonów swoich, gdy woda wystąpi z brzegów rzeki i zaleje pola.

Takie myśli nurtowały coraz częściej w mózgu Li-Czanga i nie dawały mu spokoju. Coraz też częściej ogarniała go tęsknota za ludźmi z ludnego miasta, za mądrymi księgami i stracił dawną chęć do pracy na ziemi ojców swoich .

Aż dnia pewnego, o wschodzie słońca, Li-Czang spakował swoje ubogie manatki, zamknął drzwi chaty, zarzucił węzełek na ramię, wziął kij podróżny w rękę i poszedł w świat, do ludnego miasta.

Zamieszkał u wyrobnika za rogatkami miasta i żył ubogo, jak ostatni z kulisów. Wstawał o świcie, gdy wszyscy jeszcze spali i, wziąwszy z sobą trochę pożywienia, szedł do swych ulubionych ksiąg i tam przez cały dzień zgłębiał ich mądrość. Wracał o zmierzchu do swej komórki i dziwił się nieraz, że w niej tak bardzo czysto i każda rzecz na swoim miejscu. Któż to tak bardzo dbał o jego wygody? Nigdy Li-Czang nie zastanawiał się dłużej nad tym, albowiem nie przystoi mędrcowi zaprzątać swych myśli sprawami tak poziomymi. Z czasem przywykł nawet do



W Anglii rozpowszechniła się nowy typ roweru z motorem, który można doraźnie w razie potrzeby w przeciągu kilku minut wmontować.

tych ubogich wygód i uznał, że tak snać być winno.

Lecz Li-Czang był młodym i serce miał dziewicze. Często przez nie przechodziły pragnienia dziwne i wzruszenia niepojęte, których nie mógł wytłumaczyć sobie.

— To pewnie miasto i księgi tak mnie nastrajają — myślał i próbował ostrząsnąć się z tych uczuć.

Pewnego wieczoru, kiedy wrócił do swej izdebki, zastał w niej dziewczynę, której nie widział dotąd nigdy.

— Kim jesteś i czego żądasz, o kobieto? — zapytał Li-Czang, wpatrując się w jej duże czarne oczy, ruchliwe, jak rybki pluskające. A im dłużej patrzył, tym wyraźniej czuł, jak przez pierś jego przenikają tęsknoty, o których zdawało się, że zapomniał.

— Jestem niewolnicą twoją, o mądry Li-Czang.

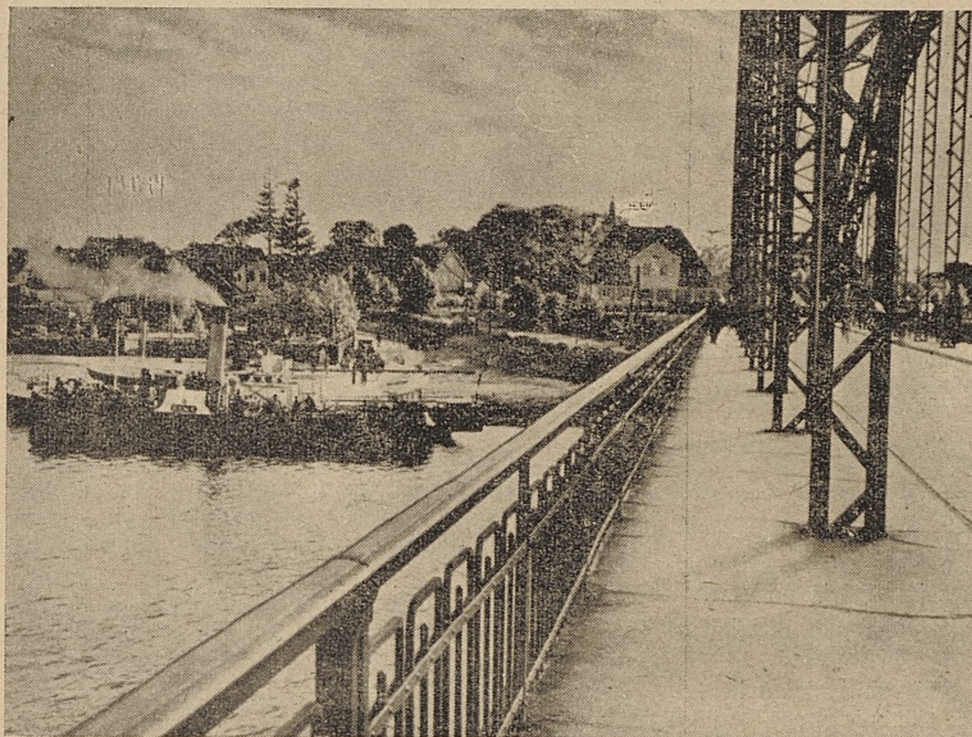
Niewolnicą? Li-Czang był zbyt biednym, aby mógł sobie pozwolić na kupno niewolnicy, był tak biednym, jak ostatni z kulisów, chociaż ci nie szukają mądrości w księgach.

— Mylisz się, kobieto — odrzekł Li-Czang — odkądże to biedacy mnie podobni miewają niewolnice? Nie jestem mandarynem.

— Ach, Li-Czang, czyliż ci serce nic nie mówi? — zawołała Si-Hau, córka wyrobnika, u którego mieszkał młody mędrzec.

Li-Czang nie musiałby być tak młodym, jak był i nie musiałby być mędrcem, gdyby tego nie rozumiał. Serce? Mówiło mu Mówiło mu ono wiele i mówiło nie od dzisiaj, choć nie rozumiał dotąd, co by to znaczyć miało. Teraz atoli jest już świadom. Teraz zrozumiał jakie to tęsknoty przeciągały przez pierś jego. Ale Li-Czang był biednym i nie chciał wpuścić miłości która pukała do jego serca. Bo niechaj tam ludzie opowiadają o niezliczonych cierpieniach piekielnych: cierpienia większego od nędzy nie było i nie będzie. Li-Czang wiedział o tym, a nie osiągnął jeszcze tego stopnia doskonałości i poznania, aby nędzą swoją szczycił się i znosił ją obojętnie, jak konieczność codziennego snu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Most im. Królowej Ludwiki na Niemnie łączący Tylżę z krajem kłajpedzkim — dotychczasowa granica niemiecko - litewska.

Leśny człowiek

— Daj rączkę — powiedział Andrzej — muszę spróbować, na który paluszek pasować będzie mój sygnet.

Zdjął z małego palca pierścionek i zaczął kolejno wkładać po na palec Iny. Okazało się, że może go ona nosić jedynie na wskazującym.

— Nie lubię na tym palcu pierścionka — powiedziała.

— To nic nie szkodzi. Wszystko między nami jest inaczej niż normalnie bywa między dwojgiem ludzi, więc i nienormalnie możesz nosić ten sygnet. Prawda?

— Mogę... zwłaszcza, jeśli ty tego chcesz.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy i po raz pierwszy usta ich złączyły się w długim gorącym pocałunku.

— Dobrze, że nie masz brody — roześmiała się Ina — bo pewnie nieprzyjemnie jest całować z brodą...

— Nie ma obawy, nie zapuszczę jej. Jak myślisz, najmilsza ty moja, kiedy będzie mógł być nasz ślub?

— Rozmawiałam wczoraj o tym z ojcem. Mówił mi, że we wszystkim zastosuje się do naszych pragnień.

— A ty jakbyś chciała?

— Na pewno tak samo, jak ty — odpowiedziała figlarnie.

— Ja chciałbym choćby jutro.

— No tak! Ale to jest niemożliwe, choćby ze względu na wszystkie konieczne formalności!

— Za miesiąc muszę już na stałe osiąść w Dębach i zacząć pracę na tej posadzie. Chciałbym abyśmy tam już razem pojechali.

— Nawet koniecznie tak być musi — potwierdziła żywo.

— Przecież w najbliższą niedzielę mogą wyjść nasze zapowiedzi i w takim razie w trzecim tygodniu od dzisiaj możemy wziąć ślub. Chyba nie zechcesz, aby jakieś tam wyprawowe sprawy mogły go odroczyć?

— Nie, nie zechcę.

— Mnie tak już jest pilno do unormowanego życia, bez włóczęgi i tłuczenia się samemu po świecie...

— O, wierzę w to najzupełniej i rozumiem to dobrze... — chciała coś dalej na ten temat mówić, ale umilkła nagle. Wolała być raczej małomówną, niż żeby zbytkiem gadatliwości dotknąć choćby nie chcący tematów, o których przecież przyrzekli sobie nie mówić wcale.

— Wiesz, teraz kiedy ciebie spotkałem, pokochałem i mamy się pobrać, więcej niż kiedykolwiek bolesną mi jest myśl o stracie naszego starego rodowego gniazda. Jakżeby to było pięknie i miło, gdybyśmy tam właśnie po ślubie jechali, a nie gdzieś w obce kąty... tam gdzie najmniejszy kamyk znam dobrze, kocham i pamiętam z lat dziedzinnych... Pomyśleć sobie, że żyd dorobkiewicz panoszy się w naszym starym dworze, rozsiada na naszych starych meblach, pamiętających dziadka i pradziadka! Aż krew się burzy w człowieku!

— A czy nie macie żadnej nadziei odzyskania waszego majątku choć w części?

— Jest to prawie niemożliwe, bo trzeba by mieć bardzo dużo na to pieniędzy. Nie ma ich ani ojciec, ani ja, ani mój brat Jerzy. On zresztą, uparty dziwak, nie zapatruje się na tę sprawę tak pesymistycznie jak ja. Poprzysiągł sobie, że wcześniej czy później musi nasz majątek wykupić z rąk żydowskich. W jaki sposób zdobędzie potrzebną na to sumę — nie wiem. Wiem tylko, że nie wątpi ani na chwilę, że tego dokaże.

— A gdzie jest teraz i co robi?

— Jest u naszego przyjaciela, w tej chwili zresztą jakoś nie bardzo dobrze czuje się ze zdrowiem...

— Czy sprowadzisz go na nasz ślub?

— Będę się starał, ale nie wiem czy przyjedzie. Nie masz pojęcia jaki z niego jest dziwak.

— A podobny do ciebie?

— Nawet bardzo. Często nas brali jednego za drugiego. Tylko on ma brodę bardzo wyraźną, znamionującą niesłychany upór, a ja mam o wiele łagodniejszą.

— A oczy ma takie jak ty?

— Zupełnie.

— I tak czarująco umie się uśmiechać?

— Tego nie mogę wiedzieć, bo żeby to ocenić trzeba być kobietą.

— Bardzo się kochacie?

— Jeden dla drugiego potrafi własne szczęście oddać.



Potężny lew - symbol imperium brytyjskiego — na tle plakatu propagandowego armii angielskiej, nawołującego do ochotniczej służby wojskowej.

— Czy myślisz, że mnie polubi?

— Na pewno! Jakże mogło by być inaczej, ty gluptasku mój najdroższy!

— Czy wiesz kochany mój, że nie wróciłam jeszcze do równowagi, tak ciągle jestem zaskoczona swoim szczęściem. Chyba nie ma na świecie drugiej takiej pary narzeczonych jak my, którzy by w taki dziwny sposób poznali się i zaręczyli.

— Na pewno nie ma. I jestem pewien, że będzie nam dobrze razem, jak nikomu nigdy nie było.

Przytulili się do siebie i zapatrzyli w tarczę zachodzącego słońca. Było im niezmiernie dobrze razem, a spokój panujący dokoła nich w przyrodzie harmonizował z poczuciem bezbrzeżnego szczęści i pogody, jakie mieli w duszach oboje.

* * *

W tym samym czasie w izbie gajówki w głębi lasu ciężki zapadał mrok. Jerzy nie pozwolił zapalić światła. Ruchem ręki odprawił Marcinową, gdy przyszła tam w tym celu.

W zamkniętym, upartym milczeniu dusił w sercu straszliwy ból i rozpacz. Od chwili odejścia Andrzeja nie wypowiedział do nikogo ani jednego słowa, nie przyjmował ani pokarmu, ani napoju. Leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko. Gdy raz je otworzył, miały tak straszny wyraz, że Wyczółkowski, nie mogąc znieść tego spojrzenia, wyszedł z izby.

Przyszła noc, długa i ciężka. Jerzy nie mógł zasnąć. Nie pozwalała mu na to jego wewnętrzna męczarnia. Gorączka podniosła się i przyniosła szereg okropnych widziadeł i majaczeń. To widział w oknie oświeconym promieniami księżyca, promienną twarzyczkę Iny: która uśmiechała się do niego i wyciągała ręce, a on, przykuty straszliwymi łańcuchami do łoża, nie mógł się do niej zbliżyć i cierpiał wskutek tego okropnie. To znowu Andrzej zjawiał się w izbie, zabierał Inę i zanosił się od śmiechu, powtarzając bez przerwy, że jest bardzo szczęśliwy.

Jerzy na skutek tych majaczeń rzucał się na łóżko i krzyczał. Wyczółkowski, wiernie przy nim czuwający, układał go za każdym razem na posłaniu, tłumaczył perswadował, uspakajał.

Już dzień się robił, kiedy chory zdrzemnął się lekko. Niedługo to trwało, ale jed-



Z niebywałym entuzjazmem witała ludność Madrytu wkraczające do stolicy Hiszpanii wojska gen. Franco.



Pierwszy oddział wojsk gen. Franco wjeżdża do Madrytu.

nak pokrzepiło go znacznie. Kiedy rano ruch się zaczął w gajówce, leżał spokojnie, chętnie napił się herbaty i zjadł kawałek bułki; zdawał się uspokojony, opanowany, zrównoważony.

Toteż Wyczółkowski pełen zadowolenia podał Andrzejowi przy omówionym spotkaniu pocieszające wieści o stanie zdrowia chorego.

Pomimo jednak stałego poprawiania się zdrowia Jerzego, życie w gajówce płynęło teraz smutno i posępnie. Młody człowiek, zawsze małomówny, teraz stał się zupełnym niemową. Nawet najpotrzebniejsze i konieczne dla porozumienia się zdania czy też słowa wymawiał z przymusem i widoczną niechęcią. Całymi dniami leżał na swym posłaniu obojętny na wszystko, co się dokoła niego działo. Nie bawiły go i nie interesowały opowiadania Wyczółkowskiego, tak z dawnych jego przeżyć, jak i przygód dnia bieżącego. Wesołych figlów sprytnego Asana nie widział wcale. Było mu wszystko jedno, co dzieje się z jego strzelbą. Nie obchodziła go nawet jego własna noga. Czy się goi, jak się goi, czy kość nastawiona przez Wyczółkowskiego zrasta się normalnie, czy będzie swobodnie chodził — nie interesowało go zupełnie. Bez przerwy pogrążony był w jakichś ciężkich ponurych rozmyślaniach, z których nic nie było w stanie go wytrącić. Często zresztą nie słyszał nawet i nie widział, że ktoś wszedł do izby, że coś mówi do niego. Jadł co mu dali i kiedy mu dali. Sam nie upominał się nigdy o nic.

— Nie wiem ja już nic — mówił pewnego dnia Wyczółkowski do Andrzeja, z którym, jak codziennie, spotkał się w lesie — co to się robi z naszym „panem inżynierem" Czy locha mu rozum przetrąciła, czy co?... Noga goi się jak malowana, a on wciąż taki, jakby mu coś w mózgu się zepsuło. Czy pan da wiarę, „panie doktorze", że nawet go ta własna jego noga nie obchodzi?

— Cóż ja na to wszystko poradzę, drogi Wyczółkowski — mówił zgnębiony Andrzej. — Ani sam do niego nie mogę przyjść, bo nie chce, ani lekarza sprowadzić nie można... Trzeba czekać i w Bogu mieć nadzieję, że to wszystko, jakoś bez przykrych śladów minie.

— „Panie doktorze..." a może by tak powiedzieć „panu inżynierowi" o tym ślubie... Przecież „pan doktór" dla niego to jak syn dla matki. Ucieszy się pewno, jakoś go to może rozrusza... jak „pan doktór" myśli?...

— Ja tylko nie wiem, z czego „pan inżynier" taki jest, jak jest. No, bo żeby trzeba było nogę obciąć na ten przykład, to rozumiem, że myśl o tym mogłaby mu rozum trochę mieszać. Nijako to młodemu człowiekowi o jednej nodze po świecie chodzić i to jeszcze takiemu jak nasz „pan inżynier". Ale bidy tej nie ma. Więc co mu się zrobiło?

— Może to po prostu jakiś wstrząs nerwowy spowodowany tym wypadkiem... Pogadam z jakim lekarzem, może choć na odległość potrafi coś poradzić... Miałem nadzieję, że Jerzy choć na tyle będzie się już teraz dobrze czuł, żeby móc przyjechać na mój ślub... ale nie ma to nadziei...

— A kiedyż to weselisko „pana doktora"?

— Za cztery dni, w drugi dzień świąt Wielkanocy. Ale weseliska żadnego nie będzie. Cichy ślub i koniec. Nikogo z rodziny nie będzie, tylko mój ojciec i ojciec mojej narzeczonej. Żeby to Jerzy był zdrów urządzilibyśmy coś wesołego, ale z takim strapieniem w duszy o jego zdrowie...

— Czy ja wiem... — zadumał się Andrzej. — Nie wiem. To już sam Wyczółkowski lepiej może wiedzieć jak zrobić, bo ciągle na niego patrzy. Bardzo też on mizerny na twarzy?

— Oj, aż żal patrzeć. Skóra i kości. A całe ciało — jak jeden szkielet, taki wychudzony.

— Z czegóż to? Czy nie je dosyć? Czy to co ja mu przysyłam nie smakuje mu?

— Właśnie, że je. Wszystko co mu dać — to zje. Ale nic idzie mu to na zdrowie.

— Żal mi go, ale i zły jestem na niego, jak cholera! Że nic nie można mu pomóc, nic zrobić! Uparł się, że nie — to i nie!

— I wiadomo, że gdyby tak nie usłuchać, to zrobiłby coś takiego, co tylko szalony zrobić może. Kocham go ja jak syna, ale przecież i mnie się nie raz zdaje, że jakiś czort w nim po prostu siedzi, jak tak się na coś zaweźmie. Czy pan da wiarę, „panie doktorze", że ja go się czasem boję?...

— Nie Wyczółkowski pierwszy i nie ostatni. Tu — ciągnął dalej, podając gajowemu, paczkę — jest czerwone wino dla Jerzego. Może mu będzie smakować i może go pokrzepi. Sam już nie wiem, co temu chłopcu przynosić... Tymczasem do widzenia. Jutro będę jak zwykle po wiadomości.

* * *

Przyszedł drugi dzień świąt Wielkanocy. Dzień ślubu Andrzeja. Wyczółkowski dobrze pamiętał o tym ważnym ewenemencie rodzinnym i nawet wybierał się do kościoła asystować przy ceremonii. Ślub miał się odbyć o godzinie 5-ej popołudniu. Stary gajowy ułożył sobie plan w ten sposób, że po wczesnym śniadaniu w południe, które spożyje z Jerzym, wyruszy z lasu i doskonale na uroczystość zdąży.

Do śniadania nakryto, jak zwykle od czasu choroby Jerzego, przy jego łóżku. Wyczółkowski wyciągnął znakomitą starkę i wino, którego dostarczył im Andrzej.

Jerzy siedział na posłaniu, mając nogę opartą na małym stołeczku. Rany już się zagoiły, noga jednak unieruchomiona była jeszcze w dwóch szczapkach drewnianych. Wyczółkowski zadowolony z dobrego śniadania i cieszący się szczęściem młodszego panicza, był w dobrym humorze, pominino zawsze tej samej nachmurzonej twarzy Jerzego. Może zresztą już się do niej trochę przyzwyczaił.

Kiedy napełnił kieliszki znakomitym winem, wstał i rzekł:

— A teraz muszę powiedzieć „panu inżyierowi", że dzisiaj to nie taki zwyczajny dzień Wielkiej Nocy jak każdego roku. Dzisiaj święto mamy podwójne i bardzo radosne: dzisiaj o 5-ej po południu, „pan doktór", nasz Andrusza kochany, bierze ślub! Ot co jest! Zdrowie młodej pary!

Jerzemu zadrżała ręka, ścisnął na chwilę szczęki, aż zęby zgrzytnęły. Ale zmógł się, opanował. Podniósł kieliszek i wychylił go duszkiem.

— Zdrowie młodej pary — rzekł dobitnie, wolno, obcym głosem. Ale jeden kieliszek to mało! Chcę jeszcze pić!!

Wyczółkowski zdumiony tak wielkim potokiem słów i ucieszony zarazem, skwapliwie spełnił życzenie „pana inżyniera", potwierdzając:

— Pewno, pewno, że jeden to za mało jak dla takiej kochanej pary! A „pan inżynier" wie, że ja na ślub do kościoła idę?

Jerzy zamiast odpowiedzi, wychylił kieliszek.

— Muszę iść, tak jak i na ślub „pana inżyniera" pójdę! Jakżeby to było beze mnie!!! Ot, przypominają się człowiekowi młode lata... — mówił podochocony alkoholem. — I ja też kilka razy do ołtarza się wybierał. Ale nigdy nie zdążył, he, he, he! Da „pan inżynier" wiarę: zanim zdążyłem do ołtarza się wybrać, już mnie druga i trzecia się podobała. A jak z tą trzecią chciał do ołtarza iść, to znowu inna się podobała. Ot, i nigdy nie zdążył i sam na stare lata...

Do końca śniadania Wyczółkowski gadał i pił, pił i gadał. Jerzy pił także, kieliszek po kieliszku — ale nie powiedział więcej ani jednego słowa.

Wreszcie stary gajowy oświadczył, że pora na niego w drogę się wybierać. Zakrzątnął się koło swego wyglądu, aby godnie wystąpić na tak zacnej uroczystości, podkręcił rudego wąsa, polecił Marcinowej nie ruszać się z domu i opiekować się „panem inżynierem" — i poszedł.

Jerzy dokończył niewypróżnionej butelki i wsparty na stole obydwoma łokciami, siedział tępo zapatrzony w podłogę. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Usta miał zaciśnięte, brwi ponuro ściągnięte nad oczami.

Raptem wstał. Przez chwilę zachwiał się, jak gdyby miał upaść. Ale w tym samym momencie odzyskał równowagę i posunął

(Ciąg dalszy na str. 333.)

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

POCHÓD WIOSNY...

Wiatr ciepłym oddechem
zaszeleścił,
mierząc długie wstęgi
ugorów —
suche źdźbła trawy popieścił
— przebiegł jary, bagna
i łęgi
— z pospiechem
aż — — — dopadł boru...
Cisza...
Zaszemrały dęby — olbrzymy:
... Czy to już?... czy my śnimy?...
... Tak rozkosznie zefir kołysze
... nas — — —
... Ach... — szumi smukła sosna —
... jak przyjemnie krążą soki
... świeże — — —
... pachnie las...
... Czy to wiosna?...
... Pst... słychać czyjeś kroki...
Na mchów wonnych kobierzec
utkany z aksamitów,
przeplatany pierwiosnków śniegiem,
uszyty —
szmaragdowych traw ściegiem
wkroczyło najpierw słońce
— awangardą promienną...
Teraz...
w orszaku długim bez końca
zbliża się... Ona...
... Cudna...
... Upragniona...
... Idzie...
objąć swoje lenno...
Otwórzcie drzwi chaty na oścież,
wychodźcie na przyzby i drogi...
Niech uśmiech rozjaśni twarze!
Wiosna!...
idzie do was dziś w goście,
poprzez pól sennych rozłogi,
kładąc w szyby stubarwne —
słoneczne witraże.

„Ilar IV".

DOBRE RADY PANI ZOFII

DZIĘKUJEMY ZA ŻYCZENIA WIELKANOCNE

Serdecznie dziękujemy za życzenia wielkanocne, nadesłane dla p. Zofii, Wujka Janusza i całej redakcji przez niżej wymienionych oraz przez tych, których nie wymieniono, a którzy uczynili to w listach, nadsyłanych już wcześniej:

„Marzenka z Ameryki", „Sportsmenka z Kujaw", „Wiedźma z debry", „Halina Ślązaczka", „Irusia z Wołynia", „Stęskniona Dziutka", „Mała Wróżka", „Blanka", „To - ja", „Młoda Lublinianka", „Puer", „Samotna Dusza", „Burza" „Szukający", „Cudzoziemka", „Zaira", „Starsza Panna", „Jadwiga Limba", „Tyran", „Wesoła Różyczka", „Roześmiane Oczy", „Wit", „Maleńka Hali", „Marzące Oczy", „Mariola", „Biała Uajali", „Koralowe Usta", „Stefcia i Lucia", „Nieszczęśliwa Niniusia", „Złośnica", „Szatynka z Podlasia", „Anka z Kielreckiego", „Ninette", „Czarodziejka", „Anta - Nina", „Lucet", Mieczysław Grzegorski, „Mała Joan - Sokolica", „Złota Jutrzenka", „Farida", „Izyda", „Eros", „Maruta", „Czarny Hajduczek", E. Piasecka, „Księżniczka Henrietta", „Avery", „Samotny — Chorzów I", „Rajski Ptaszek", „Królewna Śnieżka", „Złoty Dzwoneczek", „Helusieńka", „Dziewczątko", „Ziuk z Bydgoszczy", „Rena z Kujaw", „Irek", „Nell z Bydgoszczy", „Czarna Perełka", „Młody Orzeł", „Wierzba na pustkowiu", „Puk", „Indianka", „Zabłąkany Chłopiec", „Orlica", „Złoteńko", Roma Witwicka, „Donia", „Uśmiechnięta Wandulka", „Stokrotka", „Czarna - Maryna", „Arianka", „Wędrowna Chmurka", „Frasquita", „Szepcący", „Łobuz w spódnicy", „Dżentelmen Śląski", „Ejgo - Ejgo"... „Wenus", „Ulula", „Góraleczka", „Dyktator", „Smutna i Brzydka Irka", „Zrównoważony Jaś", „Basiątko", „Czarnulka ze Świecia", „Smutna Kazieńka", „Kleopatra".

NIE DOSŁAŁAM!

J. H. — Gniezno. Nie dodałam Twego listu dla „Basiątka", gdyż nie mam adresu tej Pani. Proszę każdy swój list podpisywać pseudonimem. Pozdrawiam Pana.

ŻYCZĘ WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO...

„Cudzoziemka". Wszyscy oczekujemy z nową wiosn ąnowych, dobrych zdarzeń i wszyscy, idąc słoneczną drogą i patrząc na świeżą zieleń traw, wierzymy w Dobry Los. Życzę Pani wszystkiego najlepszego, oby te marzenia snute w wiosenny dzień nabrały realnych kształtów.

A teraz przechodzę do Pani komunikatów: Halo! „Góraleczko", miła, choć nieznana dziewczyneczko, sprawiłaś mi bardzo wielką przyjemność, nie zapominając o mnie w swych komunikatach. Dziękuję Ci za furę pozdrowień, równocześnie przesyłam moc uścisków oraz prośbę o liścik. Jeżeli chcesz nawiązać nić koleżeńską, to pisz na poste-restante: Szlachta — Pomorze, dla „Cudzoziemki". Zgoda?

„Pell" — adresu swego nie podaję, musi Pan zwrócić się o to do Pani Zosieńki, która z pewnością poinformuje Pana. Łączę pozdrowienia.

„Marzycielu Mulfooda" czemu Pan taki tajemniczy? Czy się boisz płci pięknej? Chociaż mamy pazurki i ząbki, nie robimy nic złego. A może Pan taki wstydliwy?

„Krainianki" i „Krainiacy" przyjmijcie moc serdeczności i dużo całusów od „Cudzoziemki".

KOMUNIKAT „ZAIRY"

„Tyran". Dziękuję bardzo za liścik. Niestety nie podał Pan swego adresu... Więc jakże będzie? Wybaczy Pan, ale wierszyka nie napiszę, gdyż „zapłatę" uważam dla siebie za całkiem nieodpowiednią. Serdecznie pozdrawiam!"

PRZYNOSZĘ RADOŚĆ ŻYCIA...

„Mickey- Mouse" pisze tak: „Z uśmiechem, tak, jak to Pani lubi, pragnę wstąpić do „Krainki" i chciałabym wnieść w nią to, co jest moim skarbem największym — radość życia, i podzielić się tym skarbem z Panią oraz z całą „Krainką": z tymi, co jak ja są pełni wesołości, i z tymi, co radości tej w „Kraince" szukają.

„Mickey - Mouse" przyrzeka często pisać i uśmiechać się figlarnie do wszystkich.

Dodam, że „Mickey - Mouse" przysłała na pierwszej stronie listu swą podobiznę, (mała Mickey z ekranu), wpadająca przez masywne drzwi do „Krainki". Dowcipna ilustracja!

Apel:

Krainianki i Krainiacy! Dziewczyneczki i chłopacy, — skrobnijcie słówko do „Mickey - Mouse", „Biała Uajali", „Zazo", „Smutna Tojtano", „Maleńka Li - Lea", „Biały Wrzosie", „Merito", „Mała Gwiazdeczko", „Szary Cieniu" zechciejcie przyjąć miłe pozdrowienia.

„Buńczuczny Łobuzie" — podoba mi się Twój pseudonim, może skrobniesz do mnie, Pa!

Pozdrawiam wszystkie „Krainianki" i wszystkich „Krainiaków".

CIESZĘ SIĘ...

„Carmen". Nareszcie odezwała się Pani, okazuje się, że dawne sympatie odżywają się nawet po dłuższym okresie czasu, jak to było z Panią. „Krainka" jest miłą „Krainką" — i trzeba do niej wracać, prawda? Bardzo się z tego cieszę, a myślę, że tę radość odczują wszystkie Czytelniczki i Czytelnicy „Krainy".

Komunikaty:

„Przedwiośnie": Ziuteńko, tak strasznie długo milczysz i nie wiem nawet gdzie jesteś. Ostatni list wysłałam do B. podjęłaś go? Przyjmij moc uścisków i odezwij się Kochana!

„Alfa andron". Kim jesteś, że mnie znać możesz? Intrygujesz mnie. Napisz a może znajdziemy zadowolenie w wspólnej korespondencji. Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam je.

„Zuch Dziewczyna". Myślę o Tobie b. często, Ty słodka, kochana Rysieńko!

„Słoneczna Jasieńka", „Rozśpiewana Izabella", „Wiedźma z debry" mają moją zapewnioną sympatię.

„Juwenalis". Czemu to się tak skończyło? Dr. Wacku z W. Przyjemnie jest pojechać w cudne Alpy, ale przyjemniej jeszcze śród nich zatęsknić do Ojczyzny.

Całej „Krainie" a specjalnie kobietkom wzrostu 150 cm. i z kilkoma piegami na nosku, zasyłam moc pozdrowień. Jeżeli ktoś ma ochotę do pisania, proszę bardzo, zawsze chętna do usług „Carmen".

P. S. „Bajko" i „M. Zapałeczko". Przyjmijcie moje życzenia i kiedy wrócisz p. Stasiu? W W. nic nowego i nic ciekawego, mam wrażenie, że żyję śród samych samobójców, no ale może na wiosnę nastrój się zmieni.

PRZYJMUJĘ

„Biały puszek". — Chętnie przyjmuję Cię. Dziewczynko, do naszego grona, myślę, że będziesz się czuła dobrze wśród nas, i że znajdą się serdeczne i miłe dusze, które do Ciebie napiszą. Za zaproszenie bardzo i z serca dziękuję, jeżeli nadarzy się okazja, odwiedzę Cię z przyjemnością.

„Jagódko Lewandowska" — sto całusów. Jeżeli należysz do „Krainy" — napisz. Znamy się z gimnazjum — Tczew.

„Nell z Bydgoszczy" — dlaczego jesteś smutna? Napisz do mnie!

„Łobuz w spódnicy" — zainteresowałam się Tobą. Czy jesteś z Nakła.

Proszę wszystkich członków o listy. Również ślę tę samą prośbę do „Wita", „Erosa", „Przybłędy Leśnego", „Szukającego", „Serca śląskiego", „Pella". Czekam!

PROSZĘ PAMIĘTAĆ...

P. T. L. Wola Mokrzeska. Czemuż to nie podała Pani swego pseudonimu, czy przez roztargnienie? Mimo znośnej pamięci nie udaje mi się zapamiętać charakteru pisma do tego stopnia, by z listów wiedzieć kto pisze. W przyszłości uniknie już Pani tego roztargnienia, prawda? A teraz przechodzę do Pani apelów.

„Tajemniczego nieznajomego" przepraszam, ale mam wrażenie, że korespondencja nie dałaby nam zadowolenia. Zasyłam uścisk dłoni i dużo pozdrowień. Dla wyjaśnienia dodam, że Pan myśli na wesoło a ja odwrotnie i dlatego nie zrozumielibyśmy się.

„Maleńkiej Hali" ściskam łapki i bardzo dziękuję za miły komunikat pod moim adresem. Nie masz pojęcia, kochana, jak się ucieszyłam Twoimi miłymi słówkami. Ucałowania i moc pozdrowień przesyłam.

„Zaira". Nie mam słów podzięki dla Ciebie za piękny wierszyk poświęcony dla mnie, był on dla mnie prawdziwą niespodzianką a to tak miło myśleć, że ktoś daleko, chciał zrobić mi przyjemność i tak dobrze mnie zrozumiał. Całuję buźkę i ściskam Cię mocno.

„Szatynka z Podlasia" pozdrawiam; widzę, że Pani gniewa się na mnie i ma Pani słuszność, bo moja wina. Ucałowania dla synka i Pani.

„Dżentelmen ze Śląska" — mam wrażenie, że zgadłam prawdę? Pozdrowienia i uścisk dłoni.

Poza tym pozdrawiam całutką „Krainę", osobne pozdrowienia dla Marzyciela Mulforda; miałam zamiar do Pana napisać już dawno, bo zainteresował mnie Pana komunikat, ale

doszłam do przekonania, że sprawiłabym panu tylko kłopot swoim listem i słusznie, bo wnioskując z odpowiedzi ogólnej, dostał Pan moc listów. Zasyłam pozdrowienia i życzę jak najprędszego znalezienia drugiej połowy swojej duszy. Stare indyjskie przysłowie mówi, że każdy człowiek posiada tylko połowę duszy, a druga gdzieś błąka się po świecie i wówczas jest dopiero szczęśliwy, gdy obie połowy się odnajdą; trochę w to wierzę, chociaż swojej połowy (także szukam) jeszcze nie znalazłam.

TELEGRAM!

Do
Jej Wysokości Dyktatorki p. Zofii!

Mam zaszczyt donieść Jej Wysokości, co uchwaliła największa rada „partii Krainiackiej" w zamku na Łysej Górze.

Zebranie odbyło się punktualnie o godzinie 20-tej. Zagaił je jeden z członków partii. Postanowiono na nim jednogłośnie, że „Kraina szczerości i naszych trosk" z dniem 1. XIII. 1939 r. będzie się nazywać „Państwem szczerości".

Dyktatorem „Państwa Szczerości" wybrano jednogłośnie p. Zofię. Ministrem „Spraw Wszystkich" wybrano czcigodnego W. Janusza. My członkowie „partii krainiackiej" solidaryzujemy się całkowicie z ich rządami. Mamy niezłomną nadzieję, że p. „Dyktatorka" oraz p. „Minister Spraw Wszystkich" będą wspólnie prowadzić „Państwo Szczerości" ku ogólnej radości.

Niżej podaję wyjątek praw z dziennika urzędowego „partii krainiackiej".

Dyktatorka „Państwa Szczerości" ma nad państwem całkowitą i jednolitą władzę.

W jej ręce oddajemy całkowitą odpowiedzialność za losy Państwa.

K. K. 129 mówi, że p. Dyktatorka za przewinienia wszelakiego rodzaju może karać:

a) zmniejszaniem komunikatów, b) czekaniem na odpowiedź do trzech miesięcy.

Zażalenia jak i odwołania nie będą rozpatrywane.

Pan Minister „Spraw Wszystkich" ma całkowitą władzę nad grafomanami, wierszokletami, literatami i perłami literackimi. K. K. 137 mówi: za utwory mało wartościowe i banalne — kara przewiduje — kosz redakcyjny oraz szorstką odpowiedź na łamach dziennika „partii krainiackiej". My członkowie partii zapewniamy, że będziemy się ściśle stosować do praw partyjnych. Na końcu zapytuję w imieniu „partii krainiackiej", czy p. Zofia przyjmuje rolę Szefa i Dyktatora w „Państwie Szczerości"?

Czy Wujek Janusz przyjmuje rolę Ministra „Spraw Wszystkich"? Pozwolę sobie wnieść okrzyk (wszyscy za mną niech go pochwycą) P. Dyktatorka, P. Minister, całe „Państwo Szczerości" i jego członkowie — Niech żyją!

Członek „partii krainiackiej" — *„Harry Cortez"*.

Taki oto telegram nadesłał mi „Harry Cortez".

Oj, Smyku Jeden! Widzę, że nie cierpisz na melancholię ani żadne inne czarne smutki. To dobrze!

W Twoim imieniu oznajmiam „Rodzince", że pragniesz nawiązać szeroką korespondencję na interesujące Cię tematy i łączę pozdrowienia.

ZAPEWNIAM

„Szatynka z Podlasia". Odpisuję na list P. z marca. Dziękuję za wszystkie serdeczne słowa, skierowane do mnie i zapewniam, że czuję się dobrze i praca daje mi, jak zawsze, dużo zadowolenia, a wraz z budzącą się wiosną wzrasta i mój zapał i „gorliwość w wypełnianiu przyjętych obowiązków. Wierszyk P. pod tyt. „Miłość" oceni Wujek Janusz.

Pseudonim Pani został omyłkowo zmieniony w druku. List do „Złotego Dzwoneczka" przesłałam na właściwy adres.

Łączę dla Pani serdeczne ucałowanie i przechodzę do komunikatów:

„Sten". Czemu Pan nie odpisuje na list? Chyba Pana nie obraziłam? Czekam na kilka słów. Pozdrawiam Pana serdecznie.

„Armeńczyku". Czekam na kilka słów. Interesują Pana południowe temperamenty. Czy był Pan na południu? Może pogwarzymy listownie? Czy jest Pan może lekarzem? Bardzo mnie interesuje medycyna, ponieważ mam ojca aptekarza i dlatego ciekawią mnie sprawy związane z medycyną. A przecież doktor i aptekarz to bracia prawie, ten pierwszy zapisuje leki, a drugi wykonuje recepty.

„Błędny Ognik". Pozdrawiam Pana.

„Biała Brzózkę" pozdrawiam serdecznie.

„Marzyciela Mulforda". Pozdrawiam.

ŻYCZĘ POWODZENIA...

„Sportsmenka z Kujaw". Mały awans? To ładnie! Cieszę się zawsze z każdej wiadomości, mówiącej o efektownych wynikach pracy naszych „Krainianek" czy „Krainiaków". Życzę dalej powodzenia!

„Halo! Kochane Siostrzyczki i Braciszkowie! Kto z Was będzie w Gnieźnie na Wojciecha w kwietniu? Możemy się spotkać i odwiedzić naszą „Żymełkę", która będzie stałą mieszkanką „Grodu Lecha".

„Młody Orzeł". — Dziękuję za pozdrowienie i odwzajemniam.

„Hiszpanko" — pozdrowienie!

„Romeczko ze Lwowa" — masz ładną buzię. Pa!

„Żymełka"! Niedługo nas opuścisz; życzę powodzenia na nowym miejscu.

„Sympatyczna Hebi" — czy już jesteś marynarzem? O ile tak, to pokaż się w „Kraince". Powodzenia na uroczym morzu.

„Samotny Chorzów". Bardzo dziękuję za pozdrowienie. Mój adres w redakcji; pisz, ja nie mam tyle odwagi, abym pierwsza napisała.

„Belfer". Jak spędziłeś wakacje? Czemu nie w naszych stronach? Fotografię moją też otrzymałeś, prawda? Zasyłam wesołe pa!

„Obserwator I". Czy otrzymałeś list? Pozdrawiam!

„Rozmarzony Błękit". Podoba mi się Twój pseudonim. Milutkie pozdrowienie.

„Przybłęda Leśny". Dziękuję bardzo za pozdrowienia i odwzajemniam. Pisz pierwszy. Ja mam tremę. Odpowiedź beton.

„Marzyciela Mulforda", „Szukającego", „Wołyniaka", „Romka", „Amerykanina", pozdrawiam i proszę o liściki. Odpowiedź pewna. Osobne pozdrowienie dla wszystkich poetek i poetów z prośbą o poświęcenie wierszyka. Reszcie „Krainiakom" wraz z p. Zosią wesołe pozdrowienie znad Noteci".

WKRÓTCE

P. Zbigniew Wicherek. Donoszę Panu uprzejmie, że ocena wszystkich nadesłanych przez Pana wierszy ukaże się wkrótce. Na ocenę powieści proszę jeszcze cierpliwie poczekać, gdyż ostatnio wpłynęło dużo powieści do oceny i czytać je będę kolejno. Honorarium za wydrukowane prace — otrzyma Pani z końcem miesiąca.

Przy sposobności nadmieniam, że mylnie identyfikuje Pan naczelną redaktorkę „Mojej Przyjaciółki" p. Annę Krzycką z Zofią z „Krainy", to znaczy ze mną.

Komunikaty Pana zamieszczam poniżej. Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i życzę powodzenia w pracy!

Komunikaty:

„Śpiąca Królewna". Pięknie dziękuję za serdeczne życzenia wielkanocne. Czekam na Twój list. Z kolei przecież Tobie należy się pisać. Pa!

„Koralowe Usta". Dlaczego nie otrzymuję odpowiedzi na ostatni mój list? Pozdrawiam i czekam. Nie zasmucaj mnie milczeniem!

„Kochane Dziewczątko". Korespondencja z wielu.... powodów nie dałaby nam zadowolenia. Niemniej jednak, gdy będziesz w Bydgoszczy zawiadom mnie o tym, dobrze? Załączam śliczne pa!

„Serce". Proszę napisać, a spotkamy się, gdyż ja nie mam czasu pisać listów. Czekam, pozdrawiam, pa, pa!

„Bajka" — czekam na list!

„Rajski ptak". Czekam...

„Ninette". Już niedługo przeżyjemy najpiękniejszy sen. Wiosna nadeszła".

WZORKI ŁADNE!

„Ziuk z Bydgoszczy". Dziękuję Panu za życzenia świąteczne i oznajmiam, że wzorki Jego zatrzymaliśmy. Damy je do arkusza wzorów z Twoimi inicjałami.

Proszę poinformować mnie, na co przeznacza Pan sumę 50 groszy dołączoną w znaczkach do listu. Łączę miłe pozdrowienia i przechodzę do komunikatów.

„Kochany „Rozbójniku"! Żelaznym łomem strzaskaj wszystkie smutki w „Krainie", a uściskam mocno Twoje ręce.

„Wesoła Janeczka z Bydgoszczy". Bardzo Pani dziękuję za pozdrowienia i w zamian zasyłam promienny uśmiech.

„L. B. Łaguszew". Z uśmiechem na twarzy będziesz jeszcze ładniejsza.

„Rajski Ptaszku" !Co sprowadziło Cię z wysp dalekiego oceanu nad brzegi Noteci? Znam trochę Twoją miejscowość, a o Tobie słyszałam dużo dobrego od niektórych z licznej tu kolonii Mątewiaków. — Całą „Rodzinkę" pozdrawiam!"

NIE UCHODZI!...

„Franco". Przyjmuję Pana do „Krainy" pod nieco skrojonym pseudonimem, gdyż nie uchodzi posługiwać się nazwiskiem i tytułem bohatera narodowego Hiszpanii.

Przy okazji nadmieniam, że udał się Panu żart primaaprilisowy, tak dalece udał się, że opłakałam śmierć Pana Siostry. Na przyszłość proszę nie czynić tak makabrycznych żartów i pamiętać, że we wszystkich kawałach (w kawałach primaaprilisowych też) należy stosować umiar i takt!

Poza tym jednym nie mam do Pana żadnych zastrzeżeń i miło mi powitać Cię w naszym gronie. Łączę pozdrowienia i oczekuję nowego listu".

BĄDŹ NIEFRASOBLIWĄ!

„Niesforna Lulu". Czemu tak skąpa jesteś dla Ciebie w słowa? Dziecino, bo muszę. Tobie odpowiadam częściej, gdyż piszesz dużo, więc dla równowagi, aby Ci inni nie zazdrościli „pisz krócej. Ale i tak nie możesz uważać się za pokrzywdzoną ,bo wiesz, że Cię kocham, a to jest chyba wiele.

Moja Ty mądra i ładna główko, przestań na chwilę filozofować, a pozwól się porwać rwącym prądem budzącym się do życia wiosny, — bądź niefrasobliwą osóbką, która sieje radość i dźwięczny, beztroski śmiech. Może przez tę chwilę zdobędziesz to, czego na próżno szuka filozofująca, urocza główka w koronie bujnych warkoczy. Taka jest moja odpowiedź.

Zaś na Twój ostatni list odpowiadam przy niniejszym. To dobrze, że ucieszył Cię fakt zamieszczenia Twej podobizny.

Pozdrawiam Cię wesołym uśmiechem i zamieszczam komunikaty:

„Taka sobie Halina"! Wysłałam list z fotkami i ofrankowałam tyle, ile pisałaś. Niepokoi mię cisza z Twojej strony. Co ona znaczy? Napisz — czekam!

„Zaira"! Subtelne są Twoje wierszyki.

Ciekawam, czy „Jagienka" — to Wanda Jagienka Śliwina. Odpowiedz — proszę.

Specjalne uznanie pragnę wyrazić p. Halinie Czarskiej za jej wiersze o głęboko przemyślanej treści.

P. Eleonora Klidzia! Wspaniały jest Pani wiersz pod tyt. „Śmiej się pajacu". Jakiż soczysty zachłystującą się łzami goryczą.

„Kleopatra"! Cieszę się mocno, żeśmy tak blisko. Może się i poznamy „żywcem"?

„Przybłęda Leśny"! Czyś bardzo zdumiony „odkryciem" „Niesfornej Lulu"? Nie odpisałam, bo czekałam „piorunującego" wrażenia. Jeśli dasz znak — napiszę nie „oficjalnie".

„Wit"! Jesteś niemożliwy! Ja wcale nie jestem „beksa", ani taka zamyślona.

„Błędny Ognik"! Cześć! Nie bądź zły!

„Pell"! Hołdujesz chyba słowom greckiego mędrca, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem". Dziękuję Ci za „złoto".

Czemu to „Ejgo... Ejgo..." taki nieporuszony moim „budującym" wierszem?"

SZANUJ OCZY!

„Lucet". Dziecino Droga, jakże przedstawia się sprawa Twoich oczu? Czy byłaś już u okulisty w Krakowie? Szanuj oczy, Droga Moja, bo to wielki skarb i nic go zastąpić nie jest w stanie.

I napisz mi szybko, co orzekł lekarz! Całuję Cię serdecznie.

Komunikaty:

„Jadwiga Limba". Przesyłam wiele serdeczności i szczery zachwyt za wiersze pod tyt. „Miłość" i „Szczęście".

„Ira II". Pani i ja to strasznie mało — zrezygnujemy chyba z tej dyskusji — Pani Iro? Przesyłam pozdrowienia.

„As". Jasne uśmiechy, przesłane w moją stronę, odwzajemniam słonecznymi! Co do Twej tajemniczej wizytówki i mojego pseudo, to... tak lepiej i daleko romantyczniej..."

CZASEM POTRZEBA CISZY...

„Przylepka“. Każdy człowiek, Dziecko Drogie, ma w swym życiu okres, kiedy najmilsze jest mu cisza i samotność. Wtedy najlepiej wyjść samej na daleki spacer, drogą szarą, taką nierzucającą się w oczy. Prostota ścieżek, ukrytych w polu daje dużo ukojenia. Niebo jest jakieś bliższe, bardziej dostępne, powietrze bardziej „swojskie“, a oddalenie od ludzi pozwala na łatwiejsze wglądnięcie w głąb siebie. — i lepsze zrozumienie tych spraw które w innych okolicznościach byłyby trudne do rozwiązania.

Piszesz „Przylepko“, że ja chyba pozbawiona jestem zmartwień i kłopotów. Niezupełnie! Jakże może bez nich istnieć szary człowiek, — to wydaje się nieprawdopodobne. Kłopoty są takich koniecznym życiowym balastem, którego pozbyć się nie można. Różnica leży tylko w tym, że nie wszystkich kłopoty pochodzą z tych samych dziedzin. Jednak to nie zmienia sprawy. Komunikat Twój zamieszczam.

„Kalino“ już jest wszystko dobrze, napiszę wkrótce. Od świąt do wakacyj jeszcze 2 i pół miesiąca, tak się cieszę. Mocno całuję.

„Anko z kieleckiego“. Zobaczymy się w wakacje? Przyjmij pozdrowienia.

„Sten“ — odwzajemniam pozdrowienia. Może Pan coś napisze?

„Szatynka z Podhala“ — podoba mi się Pani. Łączę serdeczności.

„Belfer“ — przesyłam koleżeńskie pozdrowienia.

PIERWIOSNKI SZCZĘŚCIA...

„Leśna Dziewczyna“. Dziękuję Ci, Kochanie, za pozdrowienia, nadesłane z krainy śniegu. Sądzę, że wiosenne słońce (a przygrzewa wcale mocno!) roztapia uroki Twej śnieżnej krainy. Pokazały się już i tam zapewne krokusy a za nimi górskie pierwiosnki.

Życzę Ci, aby pierwiosnki szczerej radości i prawdziwego szczęścia zakwitły tej wiosny dla Ciebie.

OCZEKUJĘ!

„Indianka“. Sprawę administracyjną załatwiłam, nowy Twój adres zanotowałam. Posyłam Ci radosny uśmiech i oczekuję listu z nowego miejsca Twego zamieszkania!

„Halo! Przesyłam pozdrowienia dla „Johna U. S. A.“ Może zechce Pan skrobnąć do mnie?

ZANOTOWAŁAM

„Krzysia Leśniczanka“. Adres Twój obecny zanotowałam. Dziękuję za pozdrowienia w swoim i Wujka imieniu i odwzajemniam się serdecznie.

NOWA „KRAINIANKA“

„Mała Jasieńka“ przedstawia się Krainiankom i Krainiakom: Mam lat 19, duże czarne oczy, brwi czarne jak heban, usteczka roześmiane, malutkie i dwa rzędy białych, lśniących zębów. Czy to wystarczy? Kocham dobre, szczere serce i dusze, dla wszystkich smutnych chciałabym być promieniem słońca, brzydzę się zakłamaniem i tym, co fałszywe i obłudne.

Skończyłam w roku ubiegłym szkołę średnią, pracuję — aby nie być próżniakiem (brawo! Jasieńko!), mam wszystko — tylko brak mi oddanego serca, brak mi przyjaciela serdecznego“...

Myślę, że taka rekomendacja starczy zupełnie. Od siebie tylko dodam przypuszczenie, że „Jasieńka“ otrzyma z pewnością dużo listów.

Komunikaty:

„Krzysię Leśniczankę“ i Królową Gizellę“ całuję serdecznie i proszę o pamięć.

Specjalne pozdrowienia ślę dla „Smutnego Sztubaka“. Proszę Cię, Smutny Chłopcze, napisz do mnie, czekam niecierpliwie na odzew Adres u P. Zosieńki. Pisz dużo, ja postaram się zrewanżować“.

KOMUNIKATY „ARIANKI“

„Jasiu“, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czy czekasz? Chcesz, żebym znowu zerwała wszelkie stosunki dyplomatyczne? —

Jak udają się zdjęcia?

„Irusia z Wołynia“, źle dziecko robisz, że nie piszesz — nie można ze starszych żartować.

„Wilnianka“. Ty już... a kiedy ja? Życzę Ci dużo szczęścia no i pomyślnych rezultatów w sztuce kulinarnej!

„Chochlik“. Bardzo dziękuję Ci za zdjęcie. Wiem, że można już pisać prawdopodobnie na P. P. W. Czy macie ten okólnik?

„Rozbójniku“, czy moje ultimatum tak Cię przestraszyło?

„Tajemniczy Nieznajomy“. Odpowiedź na list z miesiąca stycznia wysłałam na poste - restante. Czy list odebrany?

„Amerykanin“. Uznanie za felieton humorystyczny! Lutnię, mogłabym nabyć. Jakie warunki?

„Blanka“. Jeżeli odpowiadałoby Ci Polesie, to możemy się porozumieć (może się zdecydujesz napisać?) miejscowość spokojna, 7 km od kolei, dość duża wieś, towarzystwa brak zupełnie, no ale na to się zaradzi!“

BĘDĘ WDZIĘCZNA

„Szatynka i Wirtuozka!“ Uśmiałam się, czytając Wasz przemiły liścik. Widzę, że z Was dzielne osóbki i że umiecie umilić sobie zarówno wakacje, jak dni wolne od nauki.

Życzę Wam z serca, abyście zawsze były tak pełne młodzieńczej werwy i radości!

Na maszynie możecie pisać zawsze — będę nawet wdzięczna. A teraz kończę króciuteńką rozmowę z Wami i całuję Was serdecznie!

POSYŁAM CI UŚMIECH!

„Anta - Nina“. Miło mi było otrzymać od Ciebie tych kilkanaście słów. Prośby spełniłam, jak miałaś się już możność przekonać.

Posyłam Ci dobry uśmiech.

NIE ZDOBYŁAM ADRESU

„Czytelniczka z Fedola“: Droga Moja, „mądra głowa“ nie zdobyła jednak Pani adresu, aby móc go wciągnąć do ewidencji członków „Rodzinki“, administracja stwierdziła, że w miejscowości, którą wskazała pieczęć pocztowa na znaczku, nie ma prenumeratorów naszego tygodnika. Otóż i dylemat!

Liścik Pani dosłałam, lecz wątpię, abyś się doczekała odpowiedzi, bo owa osoba o ile mi wiadomo, zaprzątnięta jest ogromnie przeżywaniem własnego ogromnego szczęścia.

Całuję Panią i oczekuję następnego listu!

KOMUNIKUJĘ

„Tyran“. Dziękuję Ci za miłe słowa i komunikuję uprzejmie, że listy przesłałam na właściwe adresy.

Przy sposobności łączę słowa pozdrowień.

O NIE!...

„Słodka Maruszka“. Nie, nie zapomniałam o istnieniu „Słodkiej Maruszki“ i wiedz, że wspominam Cię zawsze ze szczerym sentymentem. Pisz częściej — pragnę wiedzieć, jak Ci się powodzi i jak żyjesz.

Komunikaty Twoje były już wydrukowane. Posyłam Ci jasny uśmiech i czekam!

WIELE ZALEŻY OD MOCY SENTYMENTU

„Irys“. Naturalnie, że możesz nadal żyć z nami, chwilowa przerwa w korespondencji nie wykreśliła Cię z naszych szeregów.

Na pytanie Twoje nie mam zdecydowanej odpowiedzi. Wiele rzeczy zależy od mocy sentymentu i jego głębi. Jednakże przechylam się raczej na stronę Twej Mamusi, ona zapewne ma rację, i kto wie, czy intuicyjnie nie wykreśliła drogi Twego szczęścia. Nie spiesz się z decyzją, czas w tym wypadku będzie pracował na Twoją korzyść.

Sprawę administracyjną załatwiłam i spodziewam się, że otrzymujesz „Moje Powieści“ regularnie.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i zamieszczam Twój apel.

„Jest mi tak źle obecnie, nigdzie miejsca sobie znaleźć nie mogę. Chciałabym bardzo nawiązać korespondencję z człowiekiem, któremu też jest źle i smutno.

Może ktoś nawiąże korespondencję z brzydką „Irys“? A może odezwie się „Pandur“?

NALEŻY ODRÓŻNIĆ...

„Milutka Lena“. Naturalnie, że dosłałam Twój list — może nie otrzymasz odpowiedzi. Nie sądzę, abyś dobrze uczyniła, zrywając przyjaźń. Bez powodu nie przechodzi się nad problemem przyjaźni do porządku dziennego, chyba, że Ty uważasz, iż nie istnieje przyjaźń między kobietą a mężczyzną. Ale trzeba tu odróżnić przyjaźń od miłości. Może ten pan żywił dla Ciebie tylko uczucie przyjaźni, a Ty to brałaś za miłość? Trzeba było wyjaśnić tę sprawę i stanąć na wysokości zadania.

Pozdrawiam Cię i zamieszczam komunikaty:

„Marpol“. Łączy mnie miłe wspomnienie z Twoim mundurem. Może Pan skrobnie?

„Dyktator“. Co jest powodem Twego smutku? Czy mogę się spodziewać choć małego liściku?

„Serce Śląskie“. Jest Pan b. dowcipny. Niech Pan machnie liścik. Odpowiedź betonowa.

„Smutnooki Jasio“. Czy naprawdę Pan taki smutny? Proszę o kilka słów.

„Wa - Ga“. Przyjmij milutkie pa.

„Młody Orzeł“. Ta niespodzianka jakie zrobiła wrażenie, czy miłe? Jednak nic nie straciłam. P. Józku, popraw się! Pozdrawiam.

„Luteńka“. Zmieniłaś pseudonim, dlaczego? Tamten był ładniejszy. Pisz kochanie!

„Szary Cień“. Świat jest tak cudny, nie warto się poddawać depresji. Uśmiechnij się kochanie.

„Lena“. A może Ty napiszesz do Twej imienniczki?

„Biała Uajali“. Wiesz, że Ci zazdroszczę Twojej „Iskry“.

Dla całej „Rodzinki“ uśmiechy i wszyscy, którzy mają ochotę, niech napiszą do „Milutkiej Leny“.

SAMA WYBRAŁAM CI PSEUDONIM

Kl. E. K. — Strz. Wybrałaś sobie tak niefortunny pseudonim, że nie zaakceptowałam go, lecz sama wybrałam Ci inny. Co byś powiedziała na pseudonim „Wykrzyknik“ — hę? Przekonałam się, że pseudonimy, które z tej czy innej przyczyny wybrałam jakimś nowowstępującym do „Krainy“ sympatykom, na ogół przynosiły im szczęście, a przynajmniej zadowolenie.

Poniżej zamieszczam Twój apel, a Ciebie pozdrawiam i oczekuję odpowiedzi!

„Kto z „Krainianek“ lub „Krainiaków“ zechce mi uprzyjemnić wolne chwile? Jestem bardzo morowa i wesołą i pewna, że niejedno serce smutne będę umiała napełnić blaskami słońca, a wesołe jeszcze więcej rozweselić. Dla wszystkich zasyłam jasne uśmiechy i chociaż niektórzy przypadli mi już do gustu, to jednak w tym wypadku nie mam odwagi pierwsza zaczepić. Kto ma ochotę niech pisze“.

NOWELE PROSZĘ PRZYSŁAĆ!

„Zabłąkany Chłopiec“. W liście z marca pisze mi Pan, że masz kilka gotowych nowel i zamierzasz przesłać je Wujkowi do oceny. Naturalnie, że powinien to Pan uczynić.

Na pytanie odpowiadam, że myli się Pan co do mego nazwiska, zresztą nie jest ono zastrzeżone żadną tajemnicą i z łatwością znajdzie je Pan na ostatniej stronie naszego tyg.

Życzę Panu jasnych dni na Jego dalekim Polesiu i przedrukowuję komunikaty:

„M. Rysi“, „Zairze“ i „Rozbójnikowi“ dziękuję za pamięć i stokrotnie odwzajemniając, przesyłam najcieplejszy z swoich uśmiechów.

„Żymełko“, — źle mnie rozumiesz. Jest ze mną tak jak w tym wierszyku, o którym wspominasz. Drogą pamiątkę zachowałam. Sprawiła mi dużo radości. Później może napiszę.

„Aneri“. Jeteś moją sąsiadką. Napisz koniecznie do Poleszuka, a być może wybiorę się w gościnę na Twój Wołyń. Serdecznie pozdrawiam.

„Koralowe usta“. Serdecznie dziękuję za Twoje miłe uśmiechy i w całej pełni je odwzajemniam. Zdaję się, że jesteś jeszcze małą dziewczynką i musisz dużo „wkuwać“, mimo to napisz do mnie. Opowiem dużo ciekawego. Serdeczne pozdrowienia i radzę, byś nie martwiła się z powodu tej fotografii — przesyłam.

Całej Drogiej „Krainie“ łączę dużo serca i prawdziwej życzliwości. A może tak wystąpimy z prośbą do Pani Zofii o usunięcie z tytułu „Krainy“ wyrazu „trosk“? Czy koniecznie trzeba tylko troszczyć się?“

PRZYJMUJĘ I POLECAM!

„Mała-No". Z całą gotowością przyjmuję Cię do naszego grona i polecam „Rodzince" serdecznie. Numer brakujący dosłała Ci nasza administracja. Życzę Ci powodzenia i oczekuję następnego listu.

POZDRAWIAM!

„Pan Twardowski". Nie mogę odczytać Twego listu z datą 10 marca — proszę pisać bardziej wyraźnie.

Pozdrawiam Pana serdecznie.



WIECZÓR WIOSENNY

Wieczór wiosenny... tak urokliwy...
Osnuł mgłą marzeń... mą duszę...
I abym dostrzec mogła te dziwy...
Pianie słowika, rzuca w martwą gluszę...

Ten śpiew i gwiazd przecudnych promienie
Ten poszum krzewów cichy... tajemniczy...
Wśród garstki wspomnień daje... zapomnienie
Wlewając w serce czarę swych słodyczy...

Pełnia księżyca i lazur błękitny
I własnych marzeń cicha tajemnica
W taki wiosenny wieczór nieuchwytny
Duszę raduje i oczy zachwyca...

Irena Maria Wójcikowa

Armatniów w lutym 1939 r.

ŻYCIE

Życie jest igraszką burz...
Zamiast kwiatów — ciernie róż.
Zamiast szczęścia — ból, cierpienie
I we wszystkim — fałsz, złudzenie.

„Zaira".

CZYŻBY?...

„Zaira". Otrzymałem nową serię wierszy P. i po prostu trudno mi uwierzyć, że ani jeden utwór nie jest zupełnie dobry. Czyżby pierwsze powodzenie źle wpłynęło na Panią, „Zairo"? Proszę się poprawić i nie zabierać mi wiary, którą w Pani pokładam!

MIŁOŚĆ

Drogiej „Zuch-dziewczynie".

Niespodzianie w sercu wielka rodzi się miłość
Głosem cichym, tęsknym w dzień, czy w noc wołana,
Skrzydlatym wybucha ogniem, promienną siłą,
Miłość jak cud, jak wiosna, ta czekana.

Gdy bywa wzajemną, życie zamienia w bajkę,
Miłość, jak uśmiech nieba, tak radosna,
Tworzy marzeń barwną, najpiękniejszą mozaikę
O taką miłość ludzie są zazdrośni.

Ale jest miłość inna, bezwzajemna, smutna,
Co nieraz życie zamienia w gehennę,
Taką najboleśniejszą, której los okrutny
Zasłonił na zawsze szczęście promienne.

„Blanka".

CZY MOGĘ TOLEROWAĆ?...

„Blanka". Wyobrażam sobie ile pięknych wierszy napisze Pani, „gdy wiosną zakocha się". Wiadomo przecież, że gdy poeta zakocha się — nie ustaje w pracy, prowokowany do niej, najgłębszym natchnieniem. Żałuję, że nie mogę zostać tym szczęśliwym obiektem, wokół którego zgromadzą się wkrótce wszystkie uczucia i myśli Pani. Cóż jednak — moja szanowna persona — zupełnie nie jest godna tego, co niewątpliwie potwierdzą te Panie, które za życia oskalpowały mnie z włosów i nos mój pomalowany na kolor czerwony z lekkim odcieniem lila.

Ale... Ad rem!

Gorącemu życzeniu Pani uczynię zadość, t. zn. zamieszczę obydwa wierszyki z dedykacją. Och, jak się z nich ucieszą nasze kochane „Krainianki". — „Zuch Dziewczyna" i „Mała Konwalijka"!

A teraz dlaczego nie mam zamiaru oddać do druku trzeciego wiersza — „Ostatni akord"? Otóż dlatego, że napisała go Pani (przynajmniej odniosłem takie wrażenie!) na kolanie. Znalazłem w nim wspaniałe kwiatki w postaci rymów: „biel" i „chwil", „życie" i „w świecie". No, niech Pani sama powie, czy mogę to tolerować u takiej starej poetki (broń Boże latami, mowa o doświadczeniu!) jak Pani? Prawda, że nie! Zatem więcej, skupienia i uwagi na przyszłość, moja miła Pupilko!

CZY WIESZ?...

Czy wiesz, że co dnia widzę cię we śnie,
Jak mi ramieniem oplatasz głowę,
Widzę nad czołem twe włosy płowe
I wtedy serce me nuci pieśni?...

I widzę usta, jak płatki róży
I słyszę słowa — miłością tchnące
I wtedy cicho sobie znów wróżę,
Że wróci do mnie złociste słońce.

Czy wiesz, że pragnę szczerze, gorąco —
Ze snu się tego nigdy nie zbudzić,
Bym choć raz jeden mógł być przy tobie
I pojąć jasno, że się nie łudzę?...

— — — — — — — —

Widzieć cię całą, twą cudną głowę,
Twe śliczne oczy i włosy płowe.

„Biała Uajali".

PŁYNIE OLZA...

Płynie Olza z cichym szumem —
Rumienią się fale.
Kto cię, Olzo, tak przystroił,
Mów — czy to korale?

Cóż to za skarb drogocenny
Niesiesz, Olzo, z sobą,
I co znaczy szum radosny
Złączony z żałobą?

Oj, nie niosę ja korali,
To coś cenniejszego,
Jest to krew złączona z łzami,
Powstańca polskiego.

Krew ofiary, łzy radości
Zdobią moje fale,
A wraz z hejnałem wolności —
ciche płyną żale.

Wszakże braci jeszcze tyle
Zostało w niewoli —
Współczuć trzeba więc serdecznie
Ich nieszczęsnej doli.

Lecz i oni się połączą
Niedługo z macierzą,
Że nastąpi czas ten błogi
Niech niezłomnie wierzą.

CHCIAŁABYM JA...

Chciałabym ja gdzieś w ustroniu
mieć swój domek cichy,
gdzieś wśród lasu, by mu kwiaty
dzwoniły w kielichy.

By ptaszęta w każde rano
śpiewaniem budziły —
i promienie słońca ciepłe
w okna me patrzyły.

Chciałabym ja w południe
schronić się od skwaru
i odpocząć w dobrej ciszy
dalekiej od gwaru.

Chciałabym ja, gdy wieczorem
słowik piosnki nuci,
żeby wreszcie ktoś kochany
do domu powrócił.

Chciałabym wyjść na spotkanie
ujrzeć go w pół drogi
i tak wrócić do zacisza,
przy tym sercu drogim.

Lecz to tylko są marzenia
mknące jasną drogą,
wszak na całym dużym świecie
nie mam już nikogo.

„Wiedźma z debry".

...JAK TAK DALEJ PÓJDZIE

„Dyktator". Cóż to za buta?! — „nie ustąpię i stanę się panem całej „Teczki"!" A to dobre! Myślałby kto, że zlęknę się, a ja ani myślę i prosto z mostu oświadczam Panu, że jedynym i wyłącznym panem „Teczki" jestem ja i tylko ja mam prawo rządzić się w niej, jak szara gęś"! No, ale żarty na bok, tym więcej ,że brak na nie miejsca w moim szczupłym kąciku! —

Ostatnio nadesłane wiersze są już znacznie lepsze od poprzednich. Idzie! I jak tak dalej pójdzie — utwory Pana szybko ujrzą światło dzienne!

TO BYŁA TYLKO POKUSA!

„Uśmiech Szatana". List Pani w pewnej chwili stał się dla mnie silną pokusą. Ach! — pomyślałem sobie — wyfrunę trochę w świat! Pojadę w „nieznane" i po drodze zabłądzić może do „Uśmiechu Szatana" i wtedy siądziemy razem gdzieś na zmurszałym pniu w lesie i pogadamy na wspólne tematy. Jednakże była to tylko pokusa i za chwilę byłem już od niej bardzo daleko. Znowu przeglądałem wiersze, poprawiałem je lub też wypraktykowanym już ruchem ręki, pogrążałem w ogromną przepaść kosza. Tak, Droga Pani, pokusy są nieraz silne, jednak... zawsze można im się oprzeć !

„Modlitwę poranną" — przedrukuję, „Modlitwę wieczorną" i „Nie Ty jedna"... wypraktykowanym już ruchem — resztę proszę dośpiewać sobie samej! Tysiące miłych pozdrowień! .

SKONAŁY NA NIEBIE ZORZE...

Skonały na niebie zorze
kroplą w wieczności otchłani —
czemuż skonać nie może
serca mojego thanie?...

Wyciągam w zorzę ramiona
i blask ostatni gonię —
po szczęście tak kona,
życia zamknięte dłonie.

Wołam chwile utracone,
żal mię chwyta za czemś,
co dalekie i minione —
pożegnane płaczem.

Przeklęta Iwa

O, GORZEJ!...

O, gorzej od śmierci tchnienia —
bezmyślnie młodość strwonić,
wiośniany blask płomienia —
złud szychem przysłonić.

O, gorzej od śmierci tchnienia —
krzyk serca w sobie zdławić,
nie przeżyć snów marzenia,
w tęsknocie serce pławić.

O, gorzej od śmierci tchnienia —
żyć w wspomnień przeszłej dobie
i na kształt swego cienia,
w bytu się snuć żałobie.

O, gorzej od śmierci tchnienia —
zwątpić we własne siły,
bo wtedy są tylko mogiły.
bo wtedy są tylko mogiły.

„Zadzior".

MODLITWA PORANNA

Marzycielowi Mulforda.

Nie proszę Ciebie Panie o sławę, zaszczyty...
O żadne skarby świata nie modlę się ja wcale,
A błagam: Ty mej skargi za grzech nie poczytaj,
A daj mi tylko pieśni nucić ku Twej chwale.
I z sercem zawsze młodym, z sercem zawsze czystym,
O pozwól przejść przez „Dzisiaj" smutne i ciernistę

I daj mi jedną duszę w ludzi wielkim tłumie
I jedno przyjacielskie daj mi tylko ramię.
O to Cię błagam co dzień, tę modlitwę umiem.
Gdy ciężar samotności Ducha mego złamie...
I wierzę w to, że zanim umrę już dla świata
O Panie, dasz mi poznać serce Ducha-Brata!

Nie możesz nie wysłuchać moich próśb gorących,
Ty wiesz, że Twojej chwały pragnę tak ogromnie
O jedno proszę — błagam, daj mi promień słońca
By zło „Wczorajsze" ludziom „Jutro" już zapomnieć!
W otchłanną głąb rozpaczy zejść nie pozwól więcej —
A tylko Ciebie Wieczny — kochać najgoręcej!

„Uśmiech Szatana".

się naprzód. Chwycił dwie grube laski, stojące koło kominka i gwałtownie, gorączkowo, utykając na chorą nogę wypadł z gajówki. Z pośpiechem, jak gdyby był ściganym złodziejem, przedzierał się przez zarośla, potykał o korzenie, obijał o pnie drzew, zaczepiał rozwianymi włosami o gałęzie, upadał na ręce, dźwigał się i znowu gnał. Łupki na złamanej nodze popękały i nie trzymały jej wcale. Nie czuł, nie widział tego. Gnał naprzód. Wyglądał jak szaleniec: oczy błędne, twarz blada, podrapana, zakrwawiona, włosy wielkie i rozwichrzone, ubranie podarte. Asan, pozostawiony w domu przez gajowego, zwęszył wyjście „pana inżyniera" z domu, dogonił go i radośnie obskakiwać go począł, skamląc i poszczekując wesoło. Sądził zapewne, że młody pan w dziwne jakieś figle chce się z nim zabawiać.

Tak dopadli obydwaj wielkiego, starego dębu.

Jerzy zatrzymał się przed nim na kilka kroków i wsparty na dwóch laskach, chwiejąc się w przód i w tył, dysząc ciężko patrzał nań nieprzytomnym wzrokiem. Wspaniałe dumne drzewo, świadek narodzin i śmierci jego szczęścia, świeciło długą, jasną piorunową raną, zwiesiwszy pełnym bólu i głuchej rozpaczy ruchem olbrzymi konar podcięty śmiercionośną iskrą z nieba.

Był jaskrawym, krzyczącym, bolesnym symbolem nieszczęścia człowieka, który opodal stał przed nim i chwiał się na niepewnych nogach.

Jerzy postąpił naprzód. Przypadł piersiami do pnia drzewa. Ryknął jak ranny zwierz puszczy i utopił ten ryk w korze, którą kurczowo chwycił jak w kleszcze, w swoje młode zęby.

Ranny nieszczęściem człowiek i ranny dąb, król tego boru — zwarli się w bolesnym rozpaczliwym uścisku.

Asan nie widział nigdy, aby jego pan rzucał się zębami na drzewa. W największym więc zdumieniu, usiadł na tylnych łapach, bił ogonem o ziemię i bacznie przyglądał się dziwacznej scenie.

Dopiero, kiedy Jerzy wyczerpany nadludzkim, szaleńczym wysiłkiem, jakiego dokonał, osunął się jak zemdlony na ziemię — podbiegł do niego i począł pieczołowicie lizać go po twarzy.

*



W rocznicę bitwy pod Mukdenem odbył się w Tokio wielki pokaz gimnastyczny. Na zdjęciu trybuny zapełnione młodzieżą szkolną.

W tym samym czasie Wyczółkowski podniecony i zadowolony siedział w kościele i niecierpliwie co chwila spoglądał na drzwi wejściowe, oczekując nadejścia młodej pary. Na pewno, gdyby o niego samego chodziło, nie byłby bardziej szczęśliwy.

Wreszcie ukazała się smukła postać Andrzeja, a obok niego drobna i urocza Ina.

Wyczółkowski, spojrzawszy na pannę młodą, zamrugał oczami, jak gdyby miał wrażenie, że źle widzi. Spojrzał uważnie raz jeszcze. Wreszcie przyjrzał się dokładnie, kiedy mijała go przechodząc przez kościół.

Pot wystąpił mu na czoło.

— O Jezu, Jezu... — jęknął. — Toż to „koza", co przychodziła pod wielki dąb... O Jezu, Jezu... rozumiem wszystko!...

Chwycił się oburącz za głowę i jak szalony wypadł z kościoła.

— Straszne, straszne, straszne... — mówił sam do siebie. — Jak to się stać mogło?... Z miłości „pan inżynier" wariował... A ja mu jeszcze dzisiaj z tym ślubem wyjechał! A bałwan, dureń ze mnie! I tak go zostawił tam samego z Marcinową! Porwał się pewno na jakie szaleństwo! O Jezu, Jezu!

I gnać zaczął ile sił miał w nogach przez pola w stronę lasu.

Po jakimś czasie tchu mu zabrakło w piersiach. Musiał stanąć i spocząć. Ale już po małej chwili gnał dalej. Znowu spoczywał i znowu gnał.

Ostatkiem sił o zmroku dopadł gajówki. Przed domem zobaczył Marcinową, która miotała się jak nieprzytomna na wszystkie strony.

— Co się stało?! — wrzasnął, aż echo odpowiedziało w lesie. — Gadajcie co się stało z panem?!

— Nie ma go, nie ma go! Uciekł gdziesi widać! O Boże, Boże, taki chory!

— A cóżeście robili, stara wiedźmo, zamiast nad nim czuwać?!

— Zdrzemnęłam się ino chwilę, potem patrzę, a w izbie pusto.

— A pies gdzie?

— Nie ma. Widać poszedł z „panem inżynierem".

Wyczółkowski stał jak wryty i z wielkim skupieniem myślał.

— Gdzie mógł pójść?... Gdzie mógł pójść... — zadawał sobie w duchu rozpaczliwe pytanie. — Chyba się nie obwiesił gdzie na drzewie... O, Jezu... — przeżegnał się. — Nie, nie. Nie może to być. Do kościoła nie poszedł, bo szedłby tą samą drogą, com ja wracał. Byłbym go spotkał.

Zaczął biegać w jedną i drugą stronę domu przyglądając się uważnie, czy nie dojrzy gdzie jakiego śladu. I rzeczywiście po pewnym czasie zauważył na gałęzi krzaka chustkę od nosa. Wskazywało to kierunek: droga z dębem. Pobiegł w tę stronę. Nie mógł widzieć żadnych śladów przejścia, bo w dole lasu ciemno już było prawie zupełnie. Przeszedł jeszcze kawałek i począł gwizdać na Asana. W odpowiedzi usłyszał jego szczekanie. Odetchnął: napewno jest koło „pana inżyniera", bo w przeciwnym razie pędziłby już na wezwanie.

Wyczółkowski dobrnął wreszcie do starego dębu. i z przerażeniem ujrzał leżąceog pod nim Jerzego. Przypadł do niego, nachylił się i zawołał:

— „Panie inżynierze"!

— A co? — odpowiedział zagadnięty spokojnym głosem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Min. spraw zagr. Józef Beck powrócił z Londynu po przedyskutowaniu szeregu ważnych zagadnień polityki polsko-angielskiej. Na zdjęciu p. min. z żoną, wiceminister spraw zagr. Szembek i ambasador Wielkiej Brytanii Kennard.

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

8)

Wariatka

— Myślę, że prawda...

— Jest pani niesłychanie bezpośrednia! Chyba pierwszy raz spotykam kobietę, która jest tak po prostu szczera.

— Przed chwilą powiedział pan, że jestem zagadkowa.

— Ach, to co innego! Co innego jest skąpe mówienie o sobie, a co innego bezpośrednie odnoszenie się do kogoś. Więc pani stale mieszka w Warszawie... A gdzie?

Iga powiedziała adres.

— Sama, czy przy rodzinie?

— Sama.

— Czy pani pracuje?

— Tak. W Banku Rolnym.

— I będę mógł panią odwiedzić?

— Naturalnie! Czy pan jest sędzią śledczym — roześmiała się serdecznie, pokazując bardzo białe i lśniące zęby.

— Dlaczego?!

— No, ten szereg ścisłych pytań!...

— Widzi pani, wszystkie te pytania, i wiele innych, stawiałem sobie jeszcze wtedy w wagonie — i potem... bardzo często... Teraz więc, gdy mogę z panią mówić, gdy panią wreszcie uchwyciłem, sypią mi się one, jak z rękawa! Czy to panią dziwi?

— Bawi mnie pana niepohamowana ciekawość!

— Czy pani nie zadawała sobie różnych pytań co do mojej osoby?... To bynajmniej nie zarozumiałość z mej strony, jeśli o to pytam. Ale widziałem wtedy, w wagonie, zainteresowanie w pani oczach... Przyzna pani, że nie tylko ja panią obserwowałem, ale i pani mnie.

— Przyznaję.

— Więc?

— Więc?

— Więc, owszem, zadawałam sobie różne pytania. Robię to zresztą bardzo często w stosunku do ludzi nieznanych mi, na których przygodnie patrzę, czy to w podróży, czy w kawiarni, w restauracji...

— Już mnie pani zmieszała z szarym tłumem „różnych ludzi"!

— A pan już chce być wyjątkiem?

Nie odpowiedział. Patrzał tylko błękitnymi oczyma spod ciężkich powiek tym swoim spojrzeniem ciepłym, przyciągającym jak magnes.

Iga pomyślała, tak jak w podróży: „dziwnie zniewalające oczy — miłe niezmiernie i niepokojące... dla samych tych oczu może być wyjątkiem... I Rolski... Rolski..."

— Więc proszę mi powiedzieć — przerwała milczenie, które zaczynało być kłopotliwe — czym się pan zajmuje, co pan robi?

— Dyplomata.

— Z zamiłowania, czy dla chleba?

— Z zamiłowania — i oczywiście dla chleba. To mój zawód, który sobie wybrałem, bo najbardziej mnie pociągał.

— To niedobrze...

— Dlaczego?

— Nie lubię dyplomatów, zwłaszcza tych z zamiłowania. Zwykle we wszystkim są dyplomatami. Dyplomacja to fałsz, obłuda, hipokryzja, kłamstwo. I wszystko jedno jaką teorię tu przyjmiemy: czy że zawód wyrabia określony typ człowieka, czy też, że pewien typ człowieka predystynowany jest do danego zawodu — to w jednym i drugim wypadku dyplomata źle wygląda!

— Czy ja robię na panią wrażenie człowieka fałszywego?

— Nie, ale pozory nieraz mylą. Pracuje pan w M.S.Z.?

— Tak, jestem teraz tu w centrali. Polityka i dyplomacja interesowały mnie od młodzieńczych lat. Jest to dla mnie najbardziej interesująca, najbardziej emocjonująca gra. Umieć przewidzieć — oto jest sztuka! Przyznam się pani, że wiele, wiele razy miałem ogromną satysfakcję, kiedy wbrew wszystkim wysnuwałem pewne przewidywania zupełnie konkretne — i właśnie ja miałem rację. Mam w tym kierunku specjalny zmysł: nigdy się nie mylę. Polityka to to, co mnie najbardziej w życiu emocjonuje — i — kobieta.



Silne lotnictwo stanowi o mocarstwowości państwa.



Efektowny kapelusz wiosenny

— Co do tego drugiego, to wiedziałem już o tym wtedy, w wagonie.

— Czy pani tańczy?

— Tańczę, ale już bardzo dawno nie tańczyłam.

— Więc tym bardziej chodźmy zatańczyć! Wcale nieźle tutaj grają, a par nie dużo.

— Dobrze, chodźmy zatańczyć.

Grano walca. Roman był świetnym tancerzem, ona równą mu partnerką. Tańczyli jak para fordanserów. Nie rozmawiali ze sobą: Iga odczuwała niesamowitość sytuacji, wywołaną dziwacznym zbiegiem okoliczności, jej tylko znanych; z drugiej strony Roman wywierał na nią wyraźny czar, którym ją brał w posiadanie. Milczała, szukając w tym wewnętrznym zamieszaniu równowagi. Roman powiedział tylko jedno zdanie:

— Dzisiejszy dzień, to jeden z najmilszych jakie miałem...

Iga nie odpowiedziała nic, ale pozwoliła swemu tancerzowi przytulić się mocno.

Gdy wrócili do stolika, Roman pocałował ją w rękę.

— Dziękuję... było cudownie...

— I ja bardzo dziękuję — odpowiedziała wolno z uśmiechem, patrząc mu w oczy przez lekko zmrużone powieki.

Raz jeszcze pocałował jej rękę.

— Muszę już iść — powiedziała — i tak bardzo spóźnię się do moich znajomych.

— Szkoda. Ale zobaczymy się niedługo?

Chwilę się zastanowiła: może lepiej nie?...

— i odpowiedziała:

— Wtedy, kiedy pan do mnie przyjdzie.

— W takim razie wiem, że bardzo prędko! Pozwoli się pani teraz odprowadzić?

— Bardzo mi będzie miło.

Wyszli.

— W którą stronę idziemy?

— Mokotowska 20.

— O, to daleko! Wsiądziemy do taksówki.

Iga zgodziła się.

Gdy już byli w taksówce, Roman odezwał się pierwszy:

— Niech mi pani odpowie jeszcze na jedno pytanie: dlaczego pani na drogę, do wagonu, wzięła Ewangelię? Dzisiaj po tej cudownej godzinie spędzonej z panią, jeszcze bardziej mnie to dziwi. Każda inna

książka prędzej do pani pasowała niż ta! Zresztą już wtedy w wagonie zdziwiło mnie to bardzo.

— Dekameron pasowałby bardziej? — zaśmiała się.

— Na pewno nie zdziwiłby mnie tak, jak ta Ewangelia. Dlaczego ją pani miała ze sobą?

— Za prędko pan chce wszystko wiedzieć!

— Co za nieznośna przekora! Ale oto już jesteśmy na miejscu.

Przed bramą Roman serdecznie pożegnał Jadwigę, dziękując raz jeszcze za miłe chwile i całując kilkakrotnie obydwie jej ręce.

Iga nie doszła do drzwi mieszkania swoich znajomych. Na pierwszym piętrze rozmyśliła się i zawróciła do domu. Była pod silnym wrażeniem nadzwyczajnego, nieoczekiwanego spotkania z miłym towarzyszem podróży. Zbieg okoliczności, iż był on Rolskim, nadał całej historii posmak nieprawdziwego zdarzenia.

Zawróciła do domu. Była pełna wewnętrznego chaosu, który należało w sobie uporządkować.

W domu zaś nie było mowy ani o czytaniu, ani o żadnej umysłowej pracy. Osoba Rolskiego wywołała zdecydowaną rewolucję w wewnętrznej równowadze Igi. Była pełna żywo obudzonych najdrobniejszych wspomnień i minionych lat, a jednocześnie serce uderzyło mocno nieokreśloną, nienazwaną radością chwili obecnej.

Otworzyła pianino i grała. Muzykę lubiła ogromnie. W tej chwili była to jedyna rzecz, którą się mogła zająć i na którą miała ochotę.

Tak miło wplątywać własne myśli w tony ulubionych melodii.

Minęło pół godziny .Zadzwięczał telefon.

Nie chciała go odebrać: ktokolwiek się w nim odezwie — będzie intruzem. I wbrew tym niechętnym myślom — sięgnęła po słuchawkę.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór... to pan?



Warszawski sprzedawca gazet deklaruje na F. O. N. 300 zł.

— Tak; to ja. Natrętny — prawda? Przed półtora godziną rozstaliśmy się — i już dzwonię.

Wspomnienia pierzchły. Chwila zwyciężyła. Serce radośnie zabiło.

— Bardzo się cieszę... — powiedziała.

— Czy mogę się zapytać, co pani teraz robiła?

— Naturalnie. Grałam na fortepianie.

— A ja przerwałem. Bardzo przepraszam. Czy telefon jest daleko od fortepianu?

— O dwa kroki.

— Więc proszę położyć słuchawkę, zwróconą do fortepianu i grać dalej.

— Dobrze.

Chwileczkę zastanowiła się, co zagrać. I zaczęła Szuberta. Serenadę.

Gdy skończyła wzięła słuchawkę i zapytała:

— No i co?

— Skąd pani mogła wiedzieć, że to jedna z moich ulubionych melodii?

— Zagrałam jedną z moich ulubionych melodii. Przyznaję się, że wcale nie myślałam, co pan chciałby usłyszeć! — zaśmiała się wesoło.

— Więc znowu zbieg okoliczności! W takim razie zrobimy teraz eksperyment: proszę jeszcze o jednego Schuberta, o coś, co też bardzo lubię.

— Już wiem co. Proszę posłuchać.

Szybko odłożyła słuchawkę.

Ave Maria.

— Czy to? — zapytała po skończeniu.

— To, to! Naturalnie to! Czy pani nie sądzi, że te dzisiejsze zbiegi okoliczności wyraźnie o czymś świadczą?

— Owszem: że ja się panu podobam, a pan mnie.

— Zapewniam panią, że nie ma na świecie drugiej kobiety, która by na to moje pytanie dała taką odpowiedź! Czy pani jest zawsze tak prosto szczera?

— Niestety, tak. Często z tego powodu miałam przykrości. Ale nie wpłynęły one na zmianę mego usposobienia: albo nie mówię nic, albo mówię, to co myślę.

— Rzadka zaleta. Czy chce pani, żebym jutro przyszedł?

— Chcę.

— I tego w ten sposób także nie powiedziałaby żadna kobieta! Dziękuję za to proste „chcę" i jutro koło szóstej się stawię.

— Doskonale. Będę w domu. A tymczasem do widzenia panu.

— Do widzenia.

Iga położyła słuchawkę na widełkach aparatu i dłuższą chwilę trzymała na niej rękę w zamyśleniu.

„Tak, ten człowiek już wszedł w moje życie. I będzie w nim. To jasne i pewne. Czy nie tak samo było przed laty ze Stefanem... Dziwne... brat stryjeczny Stefana... Niema wyczekiwania, pukania... I wtedy nie było. Wiedziałam, że wejdzie w moje życie... I popłynęły lata, aż przecięła je śmierć. Ale jakże to jest możliwe, aby po tamtym mógł być w ogóle jeszcze ktoś?... A jednak... I znowu Rolski..."



Ociemniali inwalidzi wojenni wręczają gen. Berbeckiemu, generalnemu komisarzowi pożyczki przeciwlotniczej dar w kwocie 10 tys. zł.

ROZDZIAŁ IV

Iga od czterech lat — to znaczy od czasu dwóch pogrzebów — prowadziła ży-



Uczennica jednej z szkół śląskich wręcza wojewodzie Grażyńskiemu swoje oszczędności na F. O. N.

cie bardzo zamknięte. Bywała w kilku zaledwie domach i to niesłychanie rzadko. Dawniej bardzo towarzyska, pełna życia i humoru, pierwsza do każdej zabawy — obecnie nie ciągnęła do ludzi, życie jej koncentrowało się w biurze i domu. Dużo czytała, chodziła do teatru, na koncerty — zawsze sama. Lubiana była przez kolegów i koleżanki dzięki swej pogodzie, lojalności i koleżeńskości. Jednakże z nikim z nich nie utrzymywała żadnych bliższych stosunków.

Była pewna, że osiągnęła zupełną równowagę i że życie jej popłynie już bez żadnych zmian do końca. W dziedzinie erotyczno-uczuciowej nie miała żadnych zainteresowań i zdawało się jej, że sprawy te zostały w niej raz na zawsze skończone.

Pewna wątpliwość co do słuszności tego przeświadczenia zbudziła się w niej w czasie owej podróży z Warszawy do Krakowa. Coś się w głębi odezwało, jak gdyby pod zaschniętą skorupą drgnął jakiś uśpiony nerw. Niespokojnie uderzyło serce.

Potem to wszystko przycichło.

A teraz nagle, w ciągu jednej godziny, z trudem osiągnięta równowaga — runęła.

Iga przez długi wieczór po spotkaniu z Rolskim rozmyślała nad ostatnimi wydarzeniami i uprzytomniła sobie, że ta równowaga i spokój nie były niczym innym, jak tylko przytłumieniem przez ciężkie przeżycia jej właściwej natury.

A teraz natura domagała się odwetu. Krew szybciej potoczyła się w żyłach. Do serca, do duszy wtargnęła wbrew wszystkiemu zapomniana radość życia. Oczom wrócił dawny blask, a ramki szarego bytowania wydały się o wiele za ciasne.

Klimat polski jest również pełen niespodzianek i gwałtownych przeskoków jak romantyczna słowiańska dusza. Po szarej, brudnej, zimnej mgle — wstał dzień przysypany śniegiem, przezroczysty jasnym białym zimowym słońcem.

Koloryt tego dnia odpowiadał nastrojowi, w jakim obudziła się Jadwiga.

W biurze pomimo nawału pracy, godziny wlokły się niemiłosiernie długo. Wskazówki zegara złośliwie wolno posuwały się naprzód. Przyszła jednak wreszcie upragniona trzecia godzina, amerykańskie biurko zostało szybko zatrzaśnięte — i Jadwiga wybiegła z gmachu banku.

Zanim zjadła obiad, przyszła do domu, odświeżyła siebie i mieszkanie, przygotowała kawę, ciastka i owoce — zbliżyła się szósta godzina.

Jadwiga była podniecona oczekiwaną wizytą. Nie czytała, ani nie grała — chodziła po mieszkaniu nerwowo, tu i owdzie poprawiła jakiś szczegół, przedstawiła bibelocik.

Punktualnie o szóstej zadźwięczał dzwonek i w otwartych drzwiach stanął Roman Rolski.

— Jak tu u pani miło — rzekł wchodząc do pokoju — jak wesoło, jak przytulnie. Tak właśnie wyobrażałem sobie pani mieszkanie.

— Pod jakim względem: tak właśnie?

— No więc na przykład, nie wyobrażałem sobie pani na tle ciemnych tapet, ciemnych mebli — tylko tak jak tu: jasno, widno, dużo powietrza, w dzień pełno słońca, a pani sama w jasnej sukni. I tak jest! Nawet ta jasna suknia!

Zaproszony przez Jadwigę usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

— O, to ta sama książka, która była powodem mojej niedyskrecji w wagonie — rzekł z uśmiechem ,wskazując na Ewangelię.

— Tak, ta sama.

— A to? — wziął do ręki obok leżącą książkę. — To widzę „Historia Świata..." A ten mały tomik? Po prostu — „Pan Tadeusz". — Rozejrzał się po pokoju. — Tam widzę Buddę, a tam krucyfiks. I w tym wszystkim mam odnaleźć właściwy pani obraz?! Rozumowo nie umiem jeszcze, intuicyjnie wiem jedno.

— Mianowicie?

— Miły i interesujący.

— Zdawkowy komplement. Myślałam, że pan powie coś ciekawszego!

— Nie. Wyrażenie wypowiedziane proste i szczerze. Zresztą czy pani nie uważa, że w tych dwóch słowach jest powiedziane bardzo dużo? Bo rzadko te dwa przymiotniki można zastosować do jednej osoby — oczywiście o ile mówi się szczerze.

Patrzał na nią niebieską smugą swych oczu spod ciężkich powiek.

— Czy naszym tematem dzisiaj ma być wyłącznie moja osoba? — zapytała odrywając oczy od jego spojrzenia i nalewając kawę.

— Naturalnie. Zresztą co może być na świecie bardziej interesującego, jak przypadkowe spotkanie dwojka ludzi, pociągniętych do siebie wzajemnym magnesem, a którzy są dla siebie najzupełniej nieznanymi istotami... Dwoje ludzi. Dwa odrębne, zamknięte w sobie światy. Oczywiście, że chcę mówić o pani, bo chcę przeniknąć, poznać ten nieznany mi świat, jakim jest pani. Widzę, że ma pani dużo książek...

Wstał i podszedł do biblioteki. Chwilę czytał tytuły na grzbietach, wreszcie zawołał:

— Nadzwyczajne! Czy pani studiuje teologię? Same poważne dzieła z zakresu wyznań. I buddaizm i mahometanizm, wierzenia pogańskie, filozofia chrześcijaństwa, mitologia grecka! Co za bogaty zbiór z jednej dziedziny! I pani to wszystko czytała? — odwrócił się do Igi z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Tak, wszystko to czytałam i nieraz do tych książek wracam. Znam je dobrze wszystkie.

— Czy pani coś studiowała po skończeniu gimnazjum?

— Tak. W Liège — prawo.

— Czemże się więc tłumaczy ten specjalny zbiór książek?

— Moim specjalnym zainteresowaniem tymi sprawami, które znowu ma swoje uzasadnienie z czasów kiedy jeszcze nie byłam świadoma ani tych, ani innych spraw...

— Znowu zagadkowo to brzmi. Czy może mi pani coś więcej o tym powiedzieć?

Usiadł obok niej na tapczanie, wziął obydwie ręce w swoje, serdecznie pocałował jedną i drugą, i patrząc ciepło w oczy, powiedział:

— Jeśli to nie jest niedyskrecją i nie zrobi pani przykrości, proszę mi to wytłumaczyć. Interesuje mnie to bardzo.

— Dobrze, opowiem panu to wszystko od Adama i Ewy, chociaż właściwie nie wiem dlaczego tak łatwo na to opowiadanie się godzę... Poza jednym człowiekiem nigdy nikomu historii tej nie opowiadałam, nikomu. I nie lubię tego tematu... Dlaczego panu chcę o tym mówić?...

— Może dlatego, że wszystko od początku między nami jest dziwne, nie takie jak normalnie, kiedy się ludzie poznają.

— Może... A więc było to tak: ojciec mój był bardzo wierzącym katolikiem, matka, niezależnie od tego co głosił jej dowód osobisty — była liberalnych poglądów w ogóle, a więc i co do religii.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

wyhaftowana jest jakimś bardzo żywym kolorem. Maluczko, a będziemy w ten sposób znaczyć bieliznę i pończochy...

RAJ KOBIET



Popołudniowy kostium z czarnego jedwabiu; bluzka z jedwabnej georgetty, wiązana pod szyją na kokardę.

Kaprysy wiosny i mody

Nasza wiosna jest kapryśna, jak kobieta, i nigdy nie wiadomo, jak się skończy spacer przy najpromienniejszej pogodzie. Wyjść na dłuższy spacer bez okrycia, to znaczy nie mieć ani chwili spokoju. Całe szczęście, że modne okrycie nie deranżuje, nie zajmuje miejsca i jest nad wyraz estetyczne i twarzowe. Minęły czasy burych standarowych burberriesnowe okrycia płoną czerwienią, migocą szafirem nieba, jarzą się złotem i nęcą świeżą soczystą zielenią wiosennej trawy. Każdy taki płaszczyk wykonany jest z przeźroczystego celofanu i ma do kompletu taką samą parasolkę. Kto nie chce krępować ruchów — kupuje sobie płaszczyk z kapturem, a wtedy ma wolne ręce i może wesoło i beztrosko człapać po deszczu i błocie. Obok płaszczy z celofanu modne są peleryny do kolan, długości spódniczek, tak samo, jak płaszcze z celofanu, albo z jedwabiu impregnowanego — ciré. Taka peleryna ma po obu stronach otwory na ręce i często bywa przybrana aksamitnymi wyłogami i wypustkami. Jeden z paryskich domów modelowych lansuje taki typ płaszczyka w kolorze granatowym z toile ciré, przybrany przy mankietach i kieszeniach czerwoną aksamitną lamówką. Płaszcz ten zaopatrzony jest w kapiszon, tak samo lamowany czerwonym aksamitem.

Na wiosnę każdy musi mieć wesołą, uśmiechniętą twarz. Do takiej twarzy każdy, nawet najbardziej zawadiacki kapelusz będzie odpowiedni. Wysoko odwinięty znad czoła kapelusik „Bebe", to ideał każdej Pani, cóż, kiedy niekażda może sobie na to pozwolić. Kapelusik taki ma nad włosami kokardę, tak przemyślnie usadowioną, że nie wiadomo, czy należy ona do kapelusza, czy jest też zakończeniem fryzury. Napoleoński pierożek, lub tak bardzo modny dziś słomkowy rożek dostępny jest również tylko wybrankom losu. Każdy z tych kapeluszy zakończony jest kokieteryjnie aksamitnymi kokardkami lub... strusim piórkiem.

Seledynowe sukienki i kostiumiki letnie ozdabia się mleczno - białym kolorem, tak samo różowe i niebieskie. Biała i kolorowa pika — to najulubieńszy najmilszy i najpraktyczniejszy materiał na bluzki kostiumowe. Modna pika nie gniecie się i w niczym nie ustępuje jedwabiom, ceną również nie różni się. Pika musi być w wysokim gatunku, jak każda bluzka. Materiał na bluzkę kostiumową musi być w wyjątkowo dobrym gatunku, o ile Pani chce po zdjęciu okrycia wyglądać przyzwoicie.

Tweedowy, ciemno cyklamenowy żakiecik uzupełniony dwiema spódniczkami — jedną popielatą gładką, drugą w kolorową szkocką kratę — do tego kilka bluzeczek, na przykład jedna z żółtego crêpe mat., jeszcze jedna z tego samego materiału, co żakiet, wreszcie ta ostatnia z wełenki lekkiej w kolorze pervenche — oto komplet, na który może sobie pozwolić każda Pani.

Modna chusteczka do nosa występuje w tym sezonie nie w pojedynkę, lecz stanowi komplet 7-miu sztuk, z których każda przeznaczona jest na inny dzień tygodnia. Chusteczki takie najczęściej wykonane są z ciemnego, niekiedy po prostu czarnego linonu, a nazwa dnia, na który są przeznaczone

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Krawiec królowej angielskiej

Jest nim p. Norman Kartnell, wychowaniec uniwersytetu w Cambridge. Przed paru laty, nie mając na dalsze studia, przerwał naukę i zadebiutował, jako zwykły rysownik modeli. Dziś ma studio, w którym pracuje 400 osób.

— Obrałem mój fach — zwierza się mr. Kartnell — brakło mi bowiem środków na wyjazd do akademii sztuk pięknych w Paryżu.

Dziś mistrz ołówka i igły ma środki, ale nie ma czasu. Może co najwyżej studiować płótna mistrzów w londyńskiej National Gallery. W ten sposób stwarza sobie wizje artystyczne, z których korzysta jego dostojna klientka.

Świecące parasole

Wymyślono je oczywiście w Ameryce. Już w tegorocznym dżdżystym zazwyczaj sezonie przedwiosennym pojawiają się jako ostatni krzyk mody parasole z elektrycznymi żarówkami. Bateryjka zasilająca je prądem znajdować się będzie w rączce parasola. Wystarczy otworzyć parasol i nacisnąć guziczek, znajdujący się w rączce, by wnętrze rozjaśniło się mleczno - białym światłem. W mroczne dni deszczowe Amerykanka niee będzie się potrzebowała brodzić w ciemnościach poprzez zasnute mgłą ulice Nowego Jorku. Świecący parasol oświecać będzie jej drogę.



Pokojowa armia

Państwo Watykańskie posiada armię, która składa się z 4-ch „korpusów", mianowicie z gwardii szwajcarskiej, szlacheckiej, pałacowej i karabinierów. Gwardia szwajcarska została ustanowiona przez Papieża Sykstusa IV. Juliusz II podniósł jej stan liczebny do 400 ludzi. Żołnierze tej gwardii rekrutują się z miejscowej ludności. Czas służby trwa w zasadzie 3 lata. Przeważnie gwardziści pochodzą z tych samych rodzin, które już od wieków dostarczają rekrutów. Pełnią oni straż przy bramach Watykanu.



Śliczny kapelusz, wykonany z czarnej słomki w połączeniu z lnianą tkaniną w barwne pasy.

Błękitno-czerwono-złote mundury gwardzistów zostały zaprojektowane 400 lat temu przez Michała Anioła. Dawniej gwardia prowadziła regularne wojny. Zwycięskie trofea tej pełnej chwały epoki można spotkać dziś jeszcze w jednej ze sal Pałacu Watykańskiego.

Gwardia szlachecka liczy 40 członków i składa się wyłącznie z członków arystokracji rzymskiej, książąt, hrabiów itd. Zadaniem jej jest czuwanie nad apartamentami Ojca Świętego. Gwardię tę powołał do życia Papież Pius VII w 1801 roku.

400 żołnierzy gwardii pałacowej powołano do służby w roku 1850 za Papieża Piusa

Karabinierzy pełnią funkcje policyjne poza obrębem pałaców watykańskich. Gdy zaproponowano Papieżowi wyposażenie armii w 6 karabinów maszynowych, Papież odmówił przyjęcia tego daru.

Konkurs na potrawę z jaj

W lipcu odbędzie się w Cleveland kongres hodowców drobiu. Z okazji tej, komitet zjazdowy kongresu ogłosił konkurs na najlepiej przygotowaną potrawę z jaj.

Pierwsza nagroda wynosi 1000 dolarów.

Brylanty w czapce kapitana okrętu

Przed jednym z sądów karnych w Nowym Jorku odbył się niedawno proces przeciwko znanej śpiewaczce kabaretowej, miss O. Burns, oskarżonej o przemycanie brylantów z Europy do Ameryki.

Miss Burns płynęła do Ameryki na okręcie luksusowym „Lincoln". — Jakkolwiek na okręcie tym było dużo eleganckich, wytwornych ludzi, ogólną uwagę zwróciło, że artystka specjalnymi względami darzyła niemłodego już kapitana okrętu, Steversna. Miss Olly i kapitan byli wprost nierozłączoną parą przez cały czas podróży.

Kiedy na horyzoncie pokazała się gigantyczna statua Wolności, zwiastująca, że port Nowego Jorku jest blisko, artystka zaproponowała kapitanowi, że mu na pamiątkę da fotografię z własnoręcznym podpisem. Uradowany kapitan skwapliwie zgodził się na tę propozycję, a wówczas miss Olly powiedziała, że chce się specjalnie sfotografować w jego kurtce i z jego czapką na głowie. Kapitan przysłał swoją kurtkę i czapkę oryginalnej miss i okrętowy fotograf zrobił zdjęcie.

Żegnając się z kapitanem w porcie, miss Olly zaprosiła go do siebie do domu i nastawała, aby koniecznie przyszedł w mundurze i w czapce kapitańskiej. Kapitan zastosował się do tego życzenia i był przez artystkę bardzo mile przyjęty.

Na tym by się cała historia zapewne skończyła, gdyby nie służąca artystki.

Służąca, rozgniewana na swoją panią, za to, że ta ją po przyjeździe do Ameryki zwolniła z posady, złożyła w policji doniesienie, że jej pani przemyciła znaczną ilość brylantów w... czapce kapitana okrętu. Pomysłowa artystka umyślnie prosiła kapitana o pożyczenie czapki, aby ukryć w niej brylanty. Kiedy kapitan odwiedził ją w Nowym Jorku, poleciła służącej wyjąć je z czapki, a tymczasem zabawiała kapitana rozmową.

Początkowo prokurator oskarżył też kapitana, jednak bardzo prędko okazało się, że był on tylko bezwiednym narzędziem, a wobec tego — sprawa przeciw niemu została umorzona.

Natomiast piękna przemytniczka została skazana na bardzo poważną grzywnę pieniężną, a przemycone brylanty zostały skonfiskowane.

Znalazł równowartość składki ubezpieczeniowej

Pewne towarzystwo ubezpieczeniowe z Kasztadu w połudn. Afryce objęło swą działalnością też tereny zamieszkałe przez murzyńskie plemiona. Wymowni agenci towarzystwa potrafili zwerbować szereg klientów wśród kacyków. Pewien wybitny murzyński wódz ubezpieczył się na 10.000 funtów szterlingów, przy czym miał opłacać składki posiadanymi przez siebie kuponami od akcji kopalni złota. Nie wiadomo dlaczego wódz rozmyślił się i zamiast przysłać towarzystwu kupony, przysłał... 16 młodych dziewcząt i twierdził, że, ponieważ jedna dziewczyna jest warta w jego kraju tyle co 10 wołów, a wół kosztuje funta, 16 dziewcząt stanowi akurat równowartość sumu, którą miał zapłacić!

Towarzystwo ubezpieczeniowe nie przyjęło jednak tej swoistej waluty i kacyk musiał zapłacić należność kuponami.

ŚWIAT i ŻYCIE

Nowoczesne więzienia pozwalają zdobywać wykształcenie

Nowoczesne więziennictwo dąży do tego, by z więźniów zrobić pożytecznych członków społeczeństwa. Niezmiernie ciekawą metodę stosuje centralne więzienie Pretorii w Kapsztadzie (Afryka Południowa), w którym umieszczeni są wyłącznie więźniowie rasy białej. — Każdy więzień, który przez dłuższy czas prowadził się nienagannie, uzyskuje możność kształcenia się do matury i niektórych egzaminów uniwersyteckich.

Na cele naukowe przeznaczona jest pewna część więzienia, gdzie panuje atmosfera prawie... uniwersytecka. Wyróżnieni więźniowie mogą posiadać w swych celach książki i pozostawać w korespondencji z wszechnicami korespondencyjnymi, które w drodze korespondencji przygotowują swoich uczniów i to nie tylko takich za kratami więziennymi, do matury i studium uniwersyteckiego. Poza tym istnieje w więzieniu osobna szkoła typu ilcealnego (high school), która kształci więźniów, posiadających tylko wykształcenie szkoły powszechnej. Istnieje nawet możliwość zdawania matury w więzieniu.

Koszt kształcenia ponosi zasadniczo rodzina więźnia. Jeżeli jednak więzień jest niezamożny, połowę kosztów ponosi administracja więzienia, a drugą połowę służba socjalna, instytucja o charakterze publicznym.

Korzystający z przywileju kształcenia się nie są zwolnieni od zwykłych prac poza więzieniem. Prób ucieczki tych więźniów nie notowano, odkąd pozwolono im kształcić się. Jeden z więźniów, który już zdał poprzednio maturę a teraz odsiaduje siedmioletnią karę więzienia, zdał już dwa egzaminy uniwersyteckie, od trzeciego egzaminu został nawet zwolniony przez uniwersytet. Po dwóch latach zdawać on będzie egzamin z ekonomii.

Szczególnie charakterystyczny jest wypadek pewnego zabójcy, podpalacza i włamywacza, który zasądzony został na łączną karę więzienia przez 27 lat. Zbrodniarz ten, zdawszy w więzieniu maturę, przygotowuje się obecnie do zawodu inżyniera kopalnianego. Poza tym interesuje się on rozmaitymi dziedzinami naukowymi, zdobywając coraz szerszą wiedzę.

Zarząd więzienia troskliwie opiekuje się tymi więźniami, którzy w więzieniu zdobyli stopnie naukowe, ażeby ich uchronić od recydywy. Dotąd, wobec nowej metody oddziaływania na charakter więźniów nie było prawie żadnych przykrych zawodów. Do tego dochodzi, że więźniowie daleko łatwiej godzą się z odbywaniem kary, i że nawet wkładają pewną ambicję w to, by stosować się ściśle do przepisów więziennych.

Kształt żył na rękach

Wiadome jest, że układ linii na palcach jest najbardziej charakterystyczną cechą, indywidualnym znakiem rozpoznawczym człowieka. Dzięki temu właśnie tak szeroko stosowane jest w kryminalistyce badanie i określanie tych linii. Nosi ono, jak wiadomo, nazwę „daktyloskopii".

Ostatnio jednak znaleziono jeszcze jeden, również podobno niezawodny i niepowtarzający się znak rozpoznawczy człowieka — kształt żył na rękach. Dokładny rysunek takiego układu żył występuje dopiero przy fotografowaniu niewidzialnymi promieniami podczerwonymi.

Badania porównawcze przeprowadził niedawno dr. Erno Freerksen, fotografując w podczerwieni szereg zewnętrznych powierzchni dłoni ludzkich i zestawiając je ze sobą. Z porównania licznych fotografii wynika, że każdy człowiek ma własny bardzo charakterystyczny układ żył. Układy te różnią się pomiędzy sobą kształtem, kierunkiem, grubością, głębokością pod skórą i licznymi przecięciami i skrzyżowaniami. Pomimo dość zawikłanego rysunku, według autora, można wyodrębnić pewne typy takich układów. Tak na przykład, u bliźniąt występują układy podobne. Poza tym daje się ustalić pewna zależność pomiędzy budową ciała a układem żył.

Prócz tego autor tej pracy stwierdził, że w układzie żył na rękach występują jeszcze szczególne zgrubienia ścianek, koliste odgałęzienia i zatoki. Według autora, fotografowane kształty są tak charakterystyczne, iż mogą całkowicie zastąpić daktyloskopię.

Francuskie pochodzenie słowa „sport"

Słowo „sport" nie jest, jak się powszechnie mniema, pochodzenia angielskiego. Pochodzi ono od francuskiego wyrazu desport, desporter w znaczeniu odpoczynku.

Już w w. 13-tym znany był we Francji wierszyk, którego jedna ze strofek brzmiała:

„Pour Déduire, pour desportet
Et pour son corps reconfortee".

Anglicy używali dawniej słowa tego bez zmiany, zaś wielki poeta angielski Chancer opowiada w 14-tym w. o młodzieńcu, który bawi się po polach lasach dla „desport" czyli odpoczynku.



Elegantki „wielkiego świata" beztrosko plażują pod gorącym niebem Kalifornii.

W w. 16-tym Rabelais używa słowa tego w tym samym znaczeniu. Podkreślić należy, że w ogóle Francja należy do najwcześniejszych krajów sportowych. Już w 16-tym w. Ronsard słynny poeta francuski grał w piłkę nożną, jego zaś współrodacy uprawiali w tym samym czasie golf i cricket. W Anglii gry te znane były dopiero później.

Mysz sprzed 80 milionów lat

W Stanach Zjednoczonych w Południowej Montanie, gdzie przeprowadzane są na wielką skalę prace wykopaliskowe, znaleziono zęby jakiegoś bliżej nieznanego zwierzęcia z bardzo odległych epok geologicznych. Bliższe badania wykazały, że jest to szczątek gryzonia, któremu nadano nazwę — Paramys atavus.

Opierając się na wielkości i kształcie zębów, uczeni przypuszczają, że znaleziony gryzoń może być uważany za najbardziej odległego przodka dzisiejszej myszy.

Wiek cennego dla paleontologii wykopaliska oceniony jest na 80 milionów lat!

HALINA HORCZANKA

Filmowa przygoda

NOWELA.

To było postanowione. Reżyser Gran główną rolę w filmie „Orlęta" powierzył porucznikowi Krosnowskiemu. Tak było postanowione! Niemniej jednak było to bardzo dziwne, zważywszy, że porucznik-pilot Krosnowski prócz wybitnej, rasowej urody i rekordu w akrobacji, nie posiadał innych kwalifikacyj filmowych. Gran jednak pełen był optymizmu. Optymizm ten udzielił się i otoczeniu i nawet samemu porucznikowi. Ćwiczył zapamiętale całe dnie i wywoływał dreszcz zgrozy i zachwytu w widzach, składających się z kolegów, mechaników i żołnierzy, obsługujących lotnisko. Wspaniałe, szybkie, wzrokiem nieobjęte wężyki „beczek", ciasne obręcze loopingów, wariackie po prostu wiraże, z których aparat leciał w nieuniknioną korkociąg — upajały Krosnowskiego i napełniały szaleńczą żądzą nieprawdopodobieństw. Pełną piersią pił zwycięstwo, jak zwykł pijać pełnymi haustami ciemno-złote wino.

W przeddzień rozpoczęcia zdjęć „oblewał" Krosnowski w towarzystwie kolegów swoją przyszłą sławę artystyczną.

— Jeżeli film się uda i jeżeli na jesieni zwyciężę w challengu i konkursie akrobacji wtedy...

— Oo... wtedy wszystkie głośniki rozkrzyczą się twoim imieniem! Wszystkie gazety spopularyzują twoją rzymską gębę, a wszystkie damy otworzą ramiona, w które wpadać będzie beznadziejnym korkociągiem as i chluba polskiego lotnictwa!

— Amen! — odpowiedziano chórem.

— Idźcie do diabła! — roześmiał się Krosnowski.

— Widziałeś już partnerkę? Podobno wczoraj przyleciała samolotem z Londynu. Szczęściarz jesteś, Włodku, cudna dziewczyna!

— Ach, one są wszystkie jednakowe! Na pewno jakaś nowa odmiana Grety, czy Marleny!

— Pamiętasz ją chyba z filmu „Życie od jutra“?

To podobno Polka, urodzona w Anglii. Gran, który chce wreszcie świat zadziwić polskim filmem, sprowadził ją do Polski za grube pieniądze. Ta dziewczyna jest piękna!

— Naprawdę? Po to przecież istnieją salony kosmetyczne. A wreszcie, dajcie mi spokój! Nie znoszę „gwiazd“, głupie, bezduszne reklamy środków upiększających. Manekiny, żyjące według recepty „made in Hollywood“. Na pewno ma setki kaprysów i wszyscy z Granem na czele będą przed nią skakali na dwóch łapkach, ale jeżeli spodziewają się tego i po mnie, to się zawiodą! Wreszcie pal ją kat! Pijmy za pomyślność „Orląt“!

Po sporej ilości brawurowo wlanych koniaków pojechał Krosnowski do krawca. Czuł wprawdzie, że coś nie jest w porządku, że wypił o jeden kieliszek za dużo, ale to były myśli podświadome, zaś z całą świadomością zdawał sobie sprawę, że musi być u krawca, jeżeli od jutra ma zacząć „kręcić“.

Po wyjściu z magazynu podszedł do pierwszej z brzegu, a właściwie jedynej taksówki; w chwili gdy otwierał drzwi, z drugiej strony wskoczyła na stopień elegancka, młoda dama. Instynktem dobrze wychowanego mężczyzny Krosnowski cofnął się. Z głębi wozu padło coś w rodzaju „przepraszam“, czy „dziękuję“ i w stronę szofera adres: Bagatela!... W tymże momencie Krosnowskiemu błysnęła szelmowska myśl: w moją stronę! odwiozę ją! I usiadł obok zdziwionej pani.

— Przepraszam panią, ale nie ma tu w pobliżu innego wozu, a właściwie tę taksówkę ja zająłem pierwszy! Mogę panią jednak odwieźć.

Dama zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i odpowiedziała spokojnie.

— Oo... pan jest źle wychowany, albo... nietrzeźwy! Ale, że się bardzo spieszę, wyrzucę pana dopiero na miejscu.

Krosnowskiego ubawił pogardliwy ton i impertynenckie słowa. Bezczelnie wpatrywał się w piękny profil, uporczywie odwróconej w stronę okna, towarzyszki. Na wszystkie próby nawiązania rozmowy odpowiadało stanowcze milczenie.

Dojeżdżali do Placu Unii Lubelskiej.

— To już! Szkoda! — powiedział Krosnowski — bardzo miło się z panią gawędzi!

Teraz, na moment spojrzała w jego stronę i przedziwny, nieopisanie piękny uśmiech przeleciał błyskiem przez twarz.

— Pan jest bardzo zabawny!

Parsknęła krótkim, urywanym śmiechem i zatrzasnęła za sobą drzwi auta.

II.

W zamszowym kombinezonie, w mocno zapiętej kominiarce, młodym sprężystym krokiem zbliżał się porucznik Krosnowski w stronę hangarów, gdzie dojrzał już grupę filmowców i kilku kolegów. W przelocie pogładził pieszczotliwie rozpięte skrzydła swego Fokkera i mocnym uściskiem dłoni witał się ze wszystkimi. Reżyser Gran wziął go poufale pod ramię.

— Przedstawię pana jedynaczce naszego filmu! Nie zna pan przecież miss Joan Carlys?

Szli w stronę stojącego na uboczu, małego sportowego wozu Grana. Siedząca przy kierownicy, zamaskowana okularami, dama wyciągnęła w stronę Krosnowskiego dłoń.

— Pan będzie zaraz latał, prawda?... Proszę mnie wziąć ze sobą — powiedziała po angielsku.

— Ależ to ćwiczenia akrobatyczne, miss Joan! — przeraził się reżyser.

— Właśnie! Tego jeszcze nie próbowałam! Oszalała! — pomyślał ze złością Krosnowski, odpowiedział jednak uprzejmie:

— Pani nie zdaje sobie sprawy ze skutków!...

— Morska choroba, tak? Oo, zapewniam pana, że to mi nie grozi!

— Wcale nie to, ale niebezpieczeństwo!

— Lubię je! No, proszę nie być nieznośnym! Nie każe mi pan chyba podziwiać bezczynnie swoich popisów?!

Wyskoczyła energicznie z auta i nie oglądając się na skonsternowanych panów, szła w stronę dygoczącego z niecierpliwości Fokkera.

— Zabierze ją pan?

Krosnowski machnął ręką ze złością.

— Chyba ona mnie, bo już siedzi na maszynie! Dam jej, psiakrew, taką lekcję, że wątpię, czy potem będzie jeszcze kiedy latała!

— Niechże jej pan krzywdy nie zrobi, bo co będzie z moim filmem?

— To niech ją pan każe związać i zatrzymać! Ja nie poradzę!

— Goo... too... we!..

Krosnowski obejrzał się, szukając wzrokiem artystki. Joan siedziała już na swym miejscu. Spod naciśniętego hełmu i okularów automobilowych wyglądał skrawek twarzy. Uśmiechnęła się i dłonią uspakajała przerażonego Grana.

Krosnowski ujął ster. 220 koni ryknęło pełnym gazem. Maszyna, jakby rozłoszczona niepożądanym pasażerem, wyrwała wściekle w górę. Położył ją na plecach, że zawiśli głowami w dół. Brawurowego Immelmana zrobił na kilkadziesiąt metrów nad lotniskiem.

— Pierwsza lekcja! — pomyślał z uciechą.

— „Ekscentryczna gwiazda“, psiakrew! a... może zemdlała ze strachu?... — zaniepokoił się nagle. — A zresztą pal ją kat! Odechce się jej akrobatycznych lotów dla reklamy!

Wyprowadził maszynę w górę i zawinął beczkę... jedną, drugą. Jedną po drugiej! Jedną po drugiej! i nagle rzucił się w korkociąg, oszalały, ostry, prosto w dół!

— A masz! a masz!

Maszyna zakołysała się na plecach, zamilkła i nagle ruszyła w wir. Lecieli w dół z przeraźliwym gwizdem linek... Jeszcze... jeszcze..: jeszcze!...

I dopiero tuż nad ziemią, gdy stojącym na dole zdawało się, że grozi katastrofa nieuniknioną, że za sekundę roztrzaskają się w drzazgi, maszyna wyrównała błyskawicznie, nieomylnie, okrążyła lotnisko i miękko usiadła na ziemi.

Krosnowski był pewien, że znajdzie Joan nieżywą z przerażenia, a co najmniej zemdloną, lub chorą nerwowo, ale zobaczył uśmiechnięte, troszkę tylko przybladłe (nieumalowane!) usta i usłyszał matowy, jakby schrypnięty głos:

— Dziękuję panu!... To było okropne!

I nagle zdjęła okulary, spod zsuniętej kominiarki rozsypały się przejasne, świetliste loki, a na ustach zjawił się ten przedziwny, nieopisany uśmiech.

— Tak, to ja! — powiedziała po polsku — Wczoraj pan, a dzisiaj ja narzuciłam mu swoje towarzystwo! Tylko, że ja wczoraj nie straszyłam pana tak okropnie — powiedziała żałośnie.

Stał przed nią zmieszany, pełen podziwu i skruchy.

— Przepraszam, miss Joan...

— O, proszę mnie nazywać Janką! Jestem Joanna Karlińska... dla pana!

I widząc biegnących w ich stronę filmowców, powiedziała już innym tonem.

— Dziękuję, był pan bardzo uprzejmy.

III.

W trzy miesiące później, w dniu premiery filmu „Orlęta“, siedziała Janka Karlińska w towarzystwie porucznika Krosnowskiego w modnej kawiarni. Poprzez mgłę błękitnego dymu patrzyły na nią rozkochane oczy chłopca. Udała zagniewaną.

— Nieznośny chłopak! proszę przestać patrzeć tak na mnie!

— Niech mi pani wykłuje oczy, albo... przestanie być tak piękna!

— O, barbarzyńca! mam sobie nos przetrącić, albo zachorować na ospę? Wszak tyle jest pięknych pań wokoło.

— Nie ma takiej drugiej! Zresztą wolno innym, wolno mnie tym bardziej!

— Cóż to znów za „tym bardziej“?

— Pani dobrze wie!

— Nic, a nic!

— Jakże mam panią przekonać, że naprawdę kocham?! Zrobię wszystko, co każesz, żebyś uwierzyła!

— Na przykład przeleci pan Atlantyk, albo obleci kulę ziemską naokoło, albo...

— Albo rzucę się z samolotem do morza, albo... powystrzelam tych wszystkich, co na panią patrzą!

— Jezus Maria! niechże pan poczeka chociaż do wieczora, dziś premiera i muszę zobaczyć...

— Nic mnie na świecie nie obchodzi, ani film, ani premiera, ani nic, tylko pani i w ogóle...

— Tak?! No, to proszę sobie zapamiętać, że jeżeli pan punktualnie o 8-ej nie przyjedzie po mnie, to proszę mi się więcej nie pokazywać na oczy, bo pana znienawidzę!!!

I punktualnie o 8-ej w galowym mundurze stanął Krosnowski przed Janką.

— Melduję się na rozkaz!

— O... o... Boże! co pan z siebie zrobił?

— Jakto, co? — przeraził się porucznik — jedziemy na premierę...

— No tak, ale nie można być takim najśliczniejszym na całym świecie... bo przecież... bo pan... bo ja...

Nie pozwolił jej znaleźć słów! Po raz pierwszy wziął ją mocno w ramiona i w przerwach między pocałunkami usłyszał jeszcze ten uparty, jedyny głos:

— Jeżeli się spóźnimy na premierę...

— ...to pana znienawidzę! — dokończył ze śmiechem.

— — — — — — — — — —

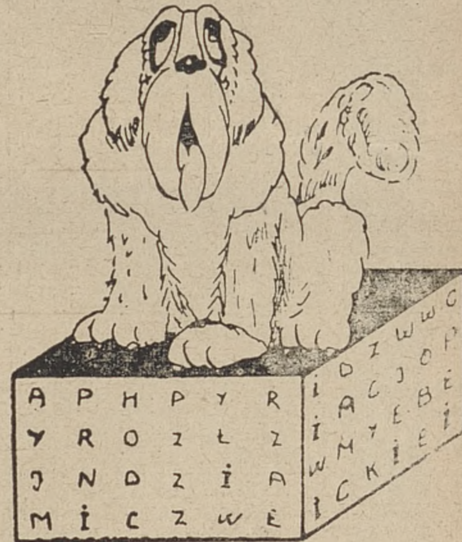
Na premierę przybyli punktualnie.

Chwila zastanowienia

PRZESTAWIANKA

uł. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.)

Litery w rzędach pionowych poprzestawiać tak, by odczytać poziomo wszystkie cztery rzędy.



DOPEŁNIANKA

uł. M. Gal.

D. .w. .d.z. .i. . n.z. .a
.a.d. .ł.dy, . .ó.e p. .e. .ił.

Oskar Wilde.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 28 kwietnia br.

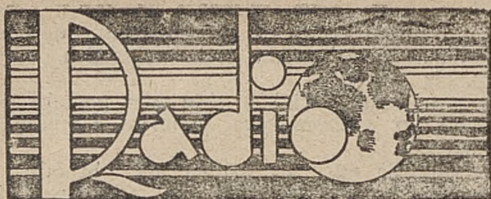
Rozwiązanie zadań z nr. 15 „Moich Pow.“:

I. Konikówka: Nie wspinajmy się bardzo wysoko, abyśmy bardzo nisko nie spadli.

II. Dopełnianka: Wesołego Alleluja wszystkim uczestnikom „Chwili zastanowienia“.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Szałkowski Stefan — Grudziądz, „Belfer“, Ostrzyńska Zofia — Żurawno, Wójcikowska Irena Maria — Armatniów, Trybuszewski Czesław — — Bydgoszcz, Kiełbratowski Anastazy — Chojnice, Żuromska Janka — Mołodeczno, Janicka Kazimiera — Gogołów, Subołkowska Adela — Wołkowysk, Pietrzykówna Regina — Wolanów, Lenart Tadeusz — Rakowice, Kowalewski Stefan — Grudziądz, Rosiak Stanisław Dabie n. Nerem. Mieczysław Subołkowski — Ksynki, ulica Szkolna 1, pow. grodzieński, Wyleżałek — Trzyniec.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Żuromskiej z Mołodeczna i Pietrzykównej z Wolanowa



Niedziela, dnia 23 kwietnia 1939 r.
7.15 Audycja poranna 9.30 Odpust św. Wojciecha — transmisja z Gniezna 12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa 13.15 Muzyka obiadowa 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital śpiewaczy Francois Andrien 17.00 „Teatr wprowadza autora" — aud. z Poznania 17.45 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Józef Szigetti i Egon Petri — koncert z płyt 21.20 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 24 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Wiązanka melodyj Roberta Stolza 12.03 Audycja popołudniowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Zespół kameralny i orkiestra klasyczna — aud. dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Przygody Mikara — Zapałki" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 Recital pianisty rumuńskiego Th. Démétriescu 17.05 „Podniebnym szlakiem do serca Czarnego Lądu" — reportaż 17.22 „Biały Algier" — reportaż muzyczny 18.00 Koncert melodii filmowych 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 20.00 Audycja dla wsi 21.00 Utwory saksofonowe Sigurda Raschera 21.45 „Wiosna" — fragment oratorium Haydna „Pory roku" 22.20 Pieśni marynarzy angielskich — audycja muzyczna.

Wtorek, dnia 25 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Orkiestry jazzowe w repertuarze salonowym — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 „Historia o Jasiu, Kasi i małej Tuzince" — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Pieśni poszukiwaczy złota 16.50 Żołnierze walki z nędzą — pogadanka 17.05 Sonata F-Dur R. Straussa — koncert 17.30 „Z pieśnią po kraju 17.55 „Linia kolejowa Śląsk-Wolyń" — pogadanka 18.05 Koncert 18.30 Audycja dla robotników 19.00 „Pod polską banderą" — koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert T-wa Miłośników Dawnej Muzyki 22.15 „Hades i Elisium" — reportaż z baletów.

Sroda, dnia 26 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Banjo i gitara — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla młodzieży: „Nasz koncert" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Recital Adeliny Korytko-Czapskiej 17.15 Sonety instrumentalne — aud. muzyczno-poetycka 18.00 Piosenki włoskich prowincji 19.03 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 22.05 Muzyka krajów kolonialnych 22.40 Pieśni Morza.

Czwartek, dnia 27 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół Poranek muzyczny 11.25 Muzyka lekka 12.03 Audycja południowa 15.00 Pogadanka dla młodzieży 15.15 „Kobieta współczesna" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.20 „O reformie rolnej" — odczyt dla liceów 16.40 Recital organowy Wł. Kalinowskiego 17.15 „Żywe laboratorium" — pogadanka 17.25 „Z kapelą i ze śpiewem" — koncert 18.10 Muzyka operetkowa 18.35 „Opowieść o Moniuszce" — audycja II 19.25 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Recital skrzypka węgierskiego Sandora Vegha 22.00 Koncert kameralny: „Mozart i Ravel" 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 28 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Zespół Lecuona Cuban—Boys — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 „Marzenie o skrzydłach" — słuchowisko dla młodzieży 15.35 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.35 Mozart: Davertimento na dwa klarnety i fagot — koncert 17.15 Recital wiolonczelowy K. Wiłkomirskiego 18.00 Piosenki marynarskie 18.20 Praca przedolimpijska lekkoatletów — pogadanka 18.30 „Kurant staroświecki" — „Miłość dar nieba zbyt drogi" 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Pieśni o morzu 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.45 Muzyka.

Sobota, dnia 29 kwietnia 1939 r.
6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Motywy egzotyczne w muzyce filmowej — koncert 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci „O Kajtusiu Miteraczku i o szumiącym lesie" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 Recital fortepianowy Grzybowskiego 17.15 — „,,Przed 120 laty" — audycja muzyczno-słowna 18.00 Audycja japońska z okazji święta narodowego Japonii 18.15 Chór Dana 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert rozrywkowy 21.15 Muzyka taneczna.



POWIEDZIAŁ PRAWDĘ

Do Plumpków przyszedł gość w odwiedziny. Zatrzymano go na kolację. Podczas kolacji gość zwraca się do Piotrusia:

— Powiedz mi, czym chciałbyś zostać, gdy dorośniesz...

— Tym, kim pan jest... — odpowiada Piotruś.

— Tak?... A dlaczego?

— Bo mamusia mówi, że pan nic nie robi tylko źre!

WENUS MILOŃSKA

Spotkały się dwie sąsiadki.

— No, jak tam, moja pani?... Dostała już pani służącą?...

— Owszem...

— Czy jest pani z niej zadowolona?...

— Nie wiem jak to powiedzieć... Ona jest jak Wenus Milońska...

— Taka ładna?...

— Nie, ale nic nie robi, jak gdyby nie miała rąk!

DOTRZYMAŁ PRZYRZECZENIA

Pani Kunegunda powiada do męża:

— Jesteś niewdzięcznikiem!... Nie kochasz mnie!

— Co ci wpadło do głowy?...

— Przyrzekłeś mi przed ślubem, że przestaniesz dla mnie palić...

— A czy ja palę dla ciebie?... Palę przecie dla siebie!

ZGUBA

— Dokąd pędzisz?

— Szukam kasjera!

— Przecież dopiero wczoraj przyjąłeś nowego.

— Właśnie jego szukam.

KALKULACJA

— Panie Moniek, co pan wolisz: tysiąc złotych pożyczki, czy dziewięćset na własność?

— Naturalnie, dziewięćset na własność!

— Idiota! Nie żal panu tej setki?

PLUCIE WZBRONIONE

Dwai Włosi przyjeżdżają do Paryża. Jeden z nich spostrzega na ścianie w hali dworcowej tabliczkę z napisem: „Defense de cracher" („Plucie wzbronione").

— Patrz, Giuseppe! — woła. — Już na dworcu antywłoskie napisy!

PRZERYWANA ŻAŁOBA

Wojciechowa straciła męża. Spieszy do niej z pociechą sąsiadka i zastaje ją przed filiżanką kawy i ciastkami.

— No cóż kochana pani porabia? — pyta sąsiadka.

— Od samego rana płaczę — szlocha Wojciechowa — a jak zjem, to znów zacznę płakać.

DOBRZE TRAFIŁ

Rabinowicz spotyka po długim niewidzeniu Cypkina, o którym krążyły ostatnio niezbyt pochlebne pogłoski.

— Halo, Cypkin! Gdzieś pan był przez te pół roku? Nigdzie pana nie było widać.

— Byłem za granicą...

— Co pan nie powiesz? Gdzie?

— Hm... w Egipcie.

— A coś pan tam robił?

— A co tam można innego robić? Sporty zimowe!

WPROST ODWROTNIE

Dziadek: Czy nie sądzisz, że samochody psują młodzież?......

Ojciec: Wprost odwrotnie, sądzę, że młodzież psuje samochody.

ZNAK ROZPOZNAWCZY

Do biura znalezionych przedmiotów wchodzi starsza dama o mocno prowincjonalnym wyglądzie.

— Zgubiłam, proszę pana, w tramwaju banknot stuzłotowy... Czy nie odniósł tu kto?

SŁUSZNY ARGUMENT

— Dlaczego pan żąda drożej za wynajęcie letniska w tej budzie niż pański sąsiad z przeciwka?

— Bo my stąd mamy ładniejszy widok na ich pałac, niż oni na naszą chatkę...

JEDEN Z TRZECH

— Skąd pan wraca?

— Byłem na proszonym obiedzie.

— No i jak tam?...

— Byłem głodny za trzech, ale co najwyżej jeden z tych trzech jest obecnie syty.

LINGWISTA

— Czy pan umie mówić po francusku, panie Kanalgitterhauptbestandteil?

— Co za pytanie? Byłem przecież pół r. w Paryżu.

— To powiedz mi pan, jak jest po francusku „śnieg"?

— Hm... ja przecież nie byłem tam w zimie!

W RESTAURACJI

Gość: — Dlaczego ten pies ciągle patrzy w mój talerz?

Kelner: — To pies gospodarza. Poznaje w nakryciu szanownego pana swój talerz, na którym zwykle jada.

UDAŁO SIĘ

Przed kawiarnią stoi auto. W aucie drzemie szofer. Zbliża się jakiś pan, wręcza szoferowi list i oświadcza:

— Proszę oddać to swemu panu.

— Szofer udaje się do kawiarni i podaje list właścicielowi auta, który ze zdziwieniem czyta:

„Nie uda się — dobrze. Uda się — jeszcze lepiej".

— Co to ma znaczyć? — pyta pan szofera.

Szofer przeczytał, pomyślał chwilę i pędem wybiegł na ulicę. Po chwili wraca.

— Udało się! — oświadcza.

—Co? — pyta się pan.

— Ukradł auto.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm. szerokość 212 mm — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr. w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 31 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.